

Gadali, że rozszarpały go wilki. Zagryzły jak psa przy łańcuchu. Podobno. Ja tam nie wiem, jak było. Nie było mnie tu wtedy. Moja siostra, świętej pamięci – będzie już ze sześć lat, jak nie ma jej wśród żywych; spodziewała się wtedy pierwszego dziecka. Mieszkała w Moszczańcu, to daleko stąd, z dala od rodziny.

No i akurat wtedy, a była to zima, przyszedł jej czas. To pojechałam, bo tak mnie prosiła: „Halinka, przyjedź, jak będzie się rodzić mój pierworodny.”

To było jakoś tuż po Trzech Króli, jak ruskie Boże Narodzenie świętowali. Zima straszna, ale nie bardzo śnieżna, nie jak to tutaj bywa. Śnieg był ledwo za kolana, ale mróz to aż w oczy szczypał! No i wtedy taka podróż to jak teraz zagranicę, tyle trwała. Jak pojechałam do tego Moszczańca, to z tydzień mnie nie było. Dobrze, że akurat ten leśniczy, wtedy to on gajowy był, Srebrzał, podwiózł mnie aż do Szczawnego. Akurat jechał po pół świniaka, co mu teść obiecał.

No a dalej to ja PKS- em pojechałam. Powiedziałam tylko staremu – mężowi, znaczy się: „Stefek, dziećmi się zajmij, miej baczenie na obojczyce, ja do Hanki jadę”. A zły był! Zupy gar nagotowałam, żeby mieli do jedzenia, ale strach był ich zostawić. Pani wie – chłop sam na gospodarce, z małymi dziećmi... Stasiu do szkoły już chodził, do czwartej klasy, Kasia do Pierwszej Komunii miała w maju iść. No ale rodzona siostrze to odmówić nie mogłam, wiadoma sprawa! Hanka tak się wtedy zarzekała, że pierworodnego urodzi, a trafiła jej się córka!

Dzień i noc rodziła, ale przy pierwszym dziecku, to wiadomo, największe nerwy są. Pamiętam to jak dziś! Taka kruszyna się urodziła, włoski miała czarne! A potem to blondyneczka się zrobiła, tak się zdarza. Na chrzcie świętym dali jej Marysia, po naszej mamie, a drugie imię to po mnie, Halina.

Jak wracałam do domu, to mróz był dopiero tęgi! W Czarnej czekałam na podwodę i tam mi ludzie powiedzieli. Aż mnie strach za gardło chycił!

Bo ja nic wcześniej nie wiedziałam o tamtym, co u nas.. To inne czasy były, kto tam miał telefon! Myśmy od świata odcięci tutaj byli! Ale jak jaka tragedia się zdarzyła, to ludzie po całych Bieszczadach roznieśli!

No więc pytają sklepowe z G.S - u, dokąd jadę, ja mówię, że do Stężnicy. A one ręce załamują, płaczą i mówią o tym małym, co go wilki zagryzły, na podwórzu, w biały dzień! Z lasu wyszły i pod własnym domem dzieciaka poszarpały!

U nas, we wsi! Ja się wtedy zachwiałam i tylko zapytałam: ile dzieciak miał lat. A one, że ze cztery... Malec taki. Mieszkał tuż przy lesie.

Ja pani szczerze powiem, że taką ulgę poczułam, że to nie mojego Stasia... I od razu wiedziałam, że to dzieciak tej Ukrainki, tej Krystyny i tego kaleki. Chociaż czy on zdalny, żeby z kobietą, za przeproszeniem, miłość uprawiać, ten Antek, to ja nie wiem, bo różnie o tym gadali... Ale u nas we wsi to tylko oni tak blisko lasu mieszkali. W takiej drewnianej chałupie, z dala od innych. Duży dom, co to na ganku ma kolorowe szybki. Pomyślałam wtedy, że to taka tragedia, bo oni jednego tylko mieli Piotrusia. A czy taki kaleka to więcej dzieciaków zdejmuje?...

.....*Podobno rozszarpały go wilki, tak ludzie gadali.*

Podobno, gdy bardzo boli, to mdlejesz i nie czujesz już nic. Ale ja myślę sobie, że on wtedy wołał swoją matkę i do końca wierzył, że przybiegnę.

Może patrzył też na drzwi, czy się otworzą. Ale tam był tylko jego ojciec.

On nie otworzył.

Współcześnie:

- Czasami zapominam, że moje życie jest teraz TUTAJ – mówię powoli, patrząc za okno. Dzisiaj jest pochmurno, niebo zdaje się opierać o horyzont, między drzewami snuje się mgła. Góry parują.

Na naszej działce pewnie jest błoto. Tu – tylko ubita ziemia.

- Dobrze ci się tutaj żyje? – pyta Dorota, zgadując, o czym myślę. Zawsze byliśmy za blisko, i pewnie dlatego nie umiemy naprawdę rozmawiać.

Wzruszam ramionami – Wiesz, jak to jest. Wszystko takie nowe, inne. Chyba po prostu jeszcze się nie przyzwyczaiłam do tego miejsca, domu... Za wcześniej. -

...Chociaż dom jest piękny: drewniany, z gankiem, na wysokiej, kamiennej podmurówce. Poprzedni właściciele pomalowali go na jasny brąz. Niestety pod wpływem słońca nabrał barwy sraczkii.

Pod oknem stoi stół, stary, drewniany. Na nim: cerata w bladożółte kwiatki, i cukiernica z obrypanym uszkiem.

Odsłoniłam firanki, żeby do kuchni wpadło trochę światła. Jak na kwiecień, jest zimno. Apatycznie patrzę za okno. Nie chce mi się nawet rozmawiać.

Karol jeszcze śpi, i dobrze. Niech chociaż przy niedzieli wypocznie.

Dorota przyjechała zaledwie wczoraj wieczorem i właściwie nie miałyśmy jak pogadać. Karol przywiózł ją do nas, za Stężnicę, z dworca PKS – ów w Baligrodzie, potem siedzieliśmy wszyscy razem, dziwnie skrępowani, aż do nocy.

Dorota patrzy przed siebie, na zdziczały ogród. Odkąd się wprowadziliśmy, próbuje go przywrócić do życia, ale brak mi talentu i zamiłowania do takiej pracy.

- To miejsce nie jest aż tak straszne, jak się wydaje. Przekonasz się! – Mówię dziarsko – Na początku też byłam trochę... niepewna. Wiesz: takie totalne odludzie, a najbliższy sklep jest jakieś pięć kilometrów. I jeszcze ta upiorna, zrujnowana stodoła za domem! Do teraz boje się koło niej przechodzić w nocy! Karol przez pierwsze tygodnie musiał wieczorem odprowadzać mnie do kibelka, tak się bałam! – śmieje się, ale czuje nieprzyjemne mrowienie na karku, jakby ktoś patrzył na mnie z ukrycia.

- Nie dziwie się! – Dorota kiwa głową. – Chociaż dla mnie najstraszniejszy jest ten las, tuż przy domu! Jest jakiś taki... martwy. Od razu przypomina mi się „Blair Witch Project” czy inne, równie przyjemne filmy! Pamiętasz tę scenę, jak....

- Przestań! – Prawie krzyczę i odruchowo oglądam się za siebie. Nie chce obudzić męża, więc ściszam głos - Ty tu przyjechałaś na jakiś czas, a ja tu MIESZKAM. Więc bądź uprzejma mnie nie straszyc! Już i tak się boje jak diabli!!!

Biorę łyk herbaty. Wsypałam do niej za dużo cukru i ma ohydny, lurowaty smak. Krzywię się ze wstrętem i rozglądam za cytryną. Jej dodatkowy plasterek mógłby

uratować moją herbatę.

- Mogę tutaj zapalić? – pyta Dorota, wyjmując z kieszeni fajki.

- Wiesz co, wyjdźmy lepiej na zewnątrz. – Nie lubię, jak ktoś pali w domu. Dym wsiąka w firanki, koce, obicia mebli... Zapach starego dymu kojarzy mi się z brudem i bezdomnością.

- Tylko weź coś ciepłego! – Przypominam, zakładając swoją starą „ramoneskę” i kalosze. Chodzenie w gumiakach sprawia mi niezwykłą frajdę i wynagradza większość niewygód, związanych z wiejskim życiem. Dorota zasuwa sweter z kapturem obszytym sztucznym futerkiem i zakłada kurtkę.

Staram się jak najciszej otworzyć drzwi, żeby ich skrzypienie nie obudziło Karola.

Na dworze jest naprawdę nieprzyjemnie: zimno i mokro. Z ust leci para, a oczy łzawią. Wychodzimy przed dom i idziemy ścieżką w dół. Idąc nią uparcie przed siebie, dociera się do najbliższej wsi, oddalonej o jakieś trzy kilometry.

Ale my zatrzymujemy się mniej więcej sto metrów od domu, przy zdziczałej śliwie, pod którą ktoś kiedyś postawił ławeczkę. Wycieram ją rękawem, zanim decyduje się usiąść. Przez chwilę palimy w milczeniu, patrząc na dom.

- Zauważyłaś, jak bardzo się różni od okolicznych budynków? – Pytam, zaciągając się.

- Zauważyłam. Trudno byłoby nie zauważyć! Uwielbiam te małe, połemkowskie chatki¹! Są takie przytulne i praktyczne: gospodarze mieszkali po środku, a po bokach: obora i stodoła, żeby zwierzęta ich grzały. I mają takie urocze, malutkie okienka!

- No i co zawsze mnie rozwała: te stosy ułożonych tuż przy ścianach drewniek. – Mówię z zapalem - Nie dość, że ocieplają budynek, to jeszcze wyglądają jak w bajce...

- ...i zawsze sobie wyobrażam, jak w mroźną zimę tylko wystawiasz rękę za okno, łapiesz drewnienko i podkładasz do pieca... - Dorota raźnie pociągnęła moją wizję dalej – Jak wtedy zadzwoniłaś i powiedziałaś, że kupujecie dom, i to stary, bieszczadzki dom, to miałam nadzieję, że właśnie taki: typowy, połemkowski domek. Zresztą –cena na to wskazywała... A on jest zupełnie inny. Zupełnie nie w klimacie. – Spojrzała dość krytycznie na dom.

- Fakt. – przyznałam - Gdyby jeszcze był leśniczówką, albo czymś po PGR – owskim, to pasowałby na przedstawiciela tutejszej architektury. A on, jeśli już, to najbliższy jest tym willowatym budynkom w Komańczy. Wiesz: ganeczki, szkiełka, szmery – bajery... Ale też nie do końca. – zawahałam się - Ten dom jest piękny: duże okna, stare drewno; i ni to ganek, ni weranda, cała w kolorowych szybkach... Ale jest w nim coś – to zabrzmiało idiotycznie – ale coś obcego. Jakby nie był na swoim miejscu...

- Może przez to otoczenie. Ni przypiął, ni przyłatał – drewniany dom z taką pseudo – gotycką wieżyczką tu, w górach. Tuż pod lasem. - zawyrokowała Dorota, energicznie wstając z ławeczki. Zrobiła kilka wymachów rąk i nóg, po czym spojrzała na mnie oskarżycielsko

¹ Domy łemkowskie były parterowe, zbudowane z grubych bali i dzieliły się na część mieszkalną, pomieszczenia dla zwierząt, i pomieszczenia gospodarskie.

– Założę się, że zupełnie zaniedbałaś ćwiczenia! Nie, nie mów nic- to po tobie WIDAĆ!!- cmoknęła zniesmaczona, a ja poczułam się jak przyłapana na gorącym uczynku

– No wiesz, nie mam teraz bardzo do tego głowy: w nowym domu jest tyle do zrobienia! Taka solidna robota remontowa – wykończeniowa zastępuje najbardziej forsującą gimnastykę!- powiedziałam niepewnie, patrząc w bok.

Dorota mrugnęła porozumiewawczo, z impetem siadając obok. Jak na osobę o świetnej kondycji, odrobina gimnastyki podejrzenie szybko pozbawiła ją tchu.

- Hmm.. No tak. Szczególnie, jak się jest młodą mężatką, woli się inną gimnastykę...!

– wydyszała. popadając w swój sławetny, rubaszny nastrój. Co było szczególnie krępujące, gdy nie szczędziła rozmówcom porad. Albo, co gorsza, doświadczeń z życia wziętych, opisanych z isticie anatomicznymi szczegółami. – Ale tak szczerze mówiąc, to nie czuje między wami jakiegoś niesamowitego iskrzenia... Mgła powoli opadała, coraz wyraźniej widziałam na horyzoncie góry.

Zapaliłam jeszcze jednego papierosa i zerknęłam, czy Karol nie wypęłza z domu. - Mówisz mi o „iskrzeniu...”. Ale spróbuj krzesać namiętność z chłopca, który wstaje codziennie o czwartej czterdzieści, pracuje w lesie dziesięć godzin, a gdy wraca do domu, to dosłownie pada na pysk! Karol mniej więcej co drugi dzień zasypia przy stole, ja też cały dzień zasuwam, starając się doprowadzić ten dom do stanu używalności! Ostatnie, na co mam siłę, to wyrafinowane wygibasy! Chodzę we wstrętnych łachach, opatulona jak kołchożnik, bo ciągle mi zimno... Od miesięcy nie byłam w mieście, nie ma nawet kto mi ufarbować włosów. Nie – nie jest ani lekko, ani przyjemnie. Jest... jest po prostu koszmar! – niespodziewanie dla siebie samej wybuchłam płaczem. Dorota objęła mnie niepewnie

– No już, kochana.. Nie ma co płakać! Wszystko się ułoży!- pocieszała mnie jak dziecko.

- Nie wiem. Zastanawiałam się nad tym i naprawdę – nie wiem –chlipnęłam jej w rękaw. – Nie wiem nawet, czy chce, żeby się ułożyło. Mam dosyć! Czasami myślałam sobie.. – zawahałam się i niepewnie mówiłam dalej - Ale się nie śmieję, dobra? Bo to głupio zabrzmiało.

- Słowo harcerza! – obiecuje Dora, która nigdy nie była harcerką.

- Tak nic mi się nie układa, wszystko się wali, i jeszcze wyglądam ohydnie, moje małżeństwo dogorywa... Po prostu koszmar! I wiesz, zastanawiam się, czy to nie przez to miejsce.. – waham się, jak wiele mogę powiedzieć -Wszystkie moje, nasze kłopoty zaczęły się tu. Jak gdyby zamieszkując w tym domu, otworzyliśmy puszkę Pandory... Głupie, nie? – smarknęłam od serca w zapomniany skrawek papieru toaletowego, znaleziony w kieszeni i spojrzałam na Dorotę.

A potem na dom, wesoło błyskający kolorowymi szybkami.

– To zabrzmiało jak w noweli Poe! Upiorny dom i te klimaty... - teatralnie zawiesiła głos. - Ale opowiedz coś więcej! – Dorota była szczerze zafascynowana.

Cóż – dziwiło mnie specjalnie, że ten temat zainteresował ją bardziej, niż moje kłopoty małżeńskie. Ja też wolałabym słuchać o zjawiskach paranormalnych, zamiast o czymś nieudanyim pożyciu.

Przysunęłam się bliżej niej i ściszyłam głos.- Ja.. rozmawiałam z miejscowymi, tak

trochę, o tym domu, ale niewiele się dowiedziałam. Tyle tylko, nikt nigdy nie zagrał tu miejsca, żadna rodzina. Wszyscy pomieszkowali tu trochę, i odsprzedawali, czasem za śmieszne pieniądze. Każdy stąd jakby uciekał. Masz jeszcze papierosy? – sięgnęłam do jej paczki – Wiesz, jak to jest w takich małych, zamkniętych społecznościach: niechętnie się rozmawia z obcymi na te najciekawsze tematy, bo te najciekawsze akurat uważa się za wstydlive. A my z Karolem wciąż jesteśmy tu obcy - zamieszkaliśmy tu niedawno, zaledwie trzy miesiące temu.

– I niczego więcej się nie dowiedziałas? – zawiedziona Dorota wbiła mi palce w przedramię, szeroko otwierając swoje błękitne oczy. Aż musiałam odwrócić twarz, żeby się nie roześmiać. Z tym wyrazem fascynacji na buzi wyglądała identycznie, jak wtedy, gdy miałyśmy po siedem lat.

Teraz nikt by nie powiedział, że jesteśmy siostrami bliźniaczkami. Nigdy nie byłyśmy ludzako podobne, a odkąd zaczęłyśmy poprawiać naturę kosmetykami i farbować włosy, nasze podobieństwo zanikło w znacznym stopniu. Ja obecnie miałam ciemne włosy, ścięte do brody, Dorota – ognisto rude, sięgające aż za łopatki. Nie oszukiwałam się – wyglądała o niebo lepiej ode mnie. Szczególnie, że mysie odrosty dyskwalifikowały mnie w przedbiegach.

– A myślisz, że gdybym ja zapytała ludzi? Dowiedziałabym się czegoś? – zapytała, z wypiekami na twarzy.

Potrząsnęłam głową. – Nie sądzę. Tak, jak mówiłam: tutejsi trzymają ze sobą sztamę. Nie będą obcym zdradzać swoich sekretów. – Mocniej opatuliłam się kurtką. Niespecjalnie się ociepliło, mimo, że wreszcie z za chmur wyszło słońce. W jego świetle dom wyglądał niegroźnie, a moja opowieść zabrzmiałaby śmiesznie. Westchnęłam.

– Nasi sąsiedzi, całkiem mili ludzie, zdecydowanie zmieniali temat gdy tylko zbaczał na dom. Nie wypadało na nich naciskać.

- To wy macie sąsiadów? – zdumiała się Dorota. – Dziwne. Jakoś nie zauważyłam żadnych chałup w pobliżu!

- Oczywiście, że mamy sąsiadów! – poczułam się dotknięta - Mieszkają jakieś piętnaście - dwadzieścia minut spacerkiem stąd. Trzeba iść tą drogą, w stronę wsi. W tamtą stronę z nikim nie sąsiadujemy, bo tak się jakoś dziwnie składa, że w pobliskim lesie nikt nie mieszka!

- Nigdy nic nie wiadomo... - wymruczała cicho Dora. – Wcale bym się nie zdziwiła, gdybym kiedyś zbierając w owym lesie dajmy na to jagody, natknęła się na wiedźmę Blaire. Pasowała by do tego klimatu jak ulał! Totalne odludzie, przerażający las, no i ten DOM! – Dorota dramatycznie zaakcentowała ostatnie słowo.

- Przestań!!! Prosiłam cię już!

- Dobra już, nie straszę cię! – skapitulowała – A tak wracając do tematu... – zastanowiła się przez chwilę. Widać szukała właściwych słów – Czuje tu coś dziwnego, w tym domu, właściwie odkąd tylko przyjechałam.. Właściwie to miałam się ciebie od razu zapytać, jak dajesz radę tutaj mieszkać. Ale było mi głupio. Zwłaszcza po tym, co powiedziałam przed waszym ślubem. Pamiętasz...- głos Doroty już nie brzmiał żartobliwie. Spuściła głowę i patrzyła na mnie niepewnie.

- Pamiętam. – przytaknęłam.

Ciężko byłoby zapomnieć. Nie chciałam wracać do rozmowy, którą odbyliśmy wtedy, jesienią, tuż przed moim wyjazdem z Radomia.

Nigdy później już nie rozmawiałyśmy. Żadna z nas nie umiała przeproszać.

- To było podłe i niesprawiedliwe z mojej strony! – mówi cicho Dorota.

Wzruszam ramionami, nie patrząc już na nią. Czuje się zmęczona. – Czy ja wiem? Jasne, że było mi cholernie przykro. Ale przynajmniej byłaś szczerą. Mnie nigdy nie udało się osiągnąć nawet tego.- zagarnęłam włosy za ucho.- Miałam dużo czasu na myślenie... i czasem jestem bliska przyznania ci racji... Może rzeczywiście, nie umiem stawić czoła życiu, i tylko uciekam? - wzruszyłam ramionami.

Usłyszałam skrzypienie drzwi i przeniosłam ze swoich butów na dom. W naszą stronę zmierzał Karol, okutany w szary polar, przypominający starą szmatę.

Nachyliłam się ku Dorocie – Powiedz mi, i to szybko, zanim on tu przyczłapie. Tylko szczerze, bo to ważne: mówiłaś prawdę? – zapytałam.

- To o tobie, wtedy?- wyjąkała zdumiona.

Machnęłam ręką – Nie, to niespecjalnie mnie teraz obchodzi Miałam na myśli to, co mówiłaś dziś o tym domu...

Dorota kiwa głową, a jej oczy dziwnie błyszczą, jak zawsze, gdy jest czymś przejęta.

- Od samego początku, odkąd tylko tam weszłam. – szeptła - Nie wiem, jak to określić... jakbym czuła czyjąś obecność... I to nie było miłe wrażenie. .. – przechodzi mnie dreszcz i czuje, jak włoski na karku się podnoszą. Jak zawsze, gdy się czegoś boje.

Przysuwam się jeszcze bliżej i łapie ją za rękaw – Jakie to szczęście, że ty też to odczuwasz! Już się bałam, że wariuje, dostaje świra, jak Lara z „Doktora Żywego”, pamiętasz, wtedy, jak mieszkali w tym domu, skazani na siebie... To upiorne wycie, które słyszała... Boże, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że przyjechałaś! Wreszcie ktoś, kto mnie rozumie! – mówię gorączkowo, chcąc zdążyć, zanim przysiądzie się Karol. – Ty nie wiesz, nie możesz wiedzieć, co się tutaj dzieje, co ja czuje... Wreszcie będę mogła to komuś opowiedzieć, komuś, kto zrozumie, nie będzie się śmiał i mnie pouczał... - słowa potykają się o siebie, a ja nie mogę złapać tchu.

Dorota wierci się niespokojnie - A on? –macha w stronę Karola, który właśnie wgramolił się do wygodki. Liczę, że zabawi tam dłuższą chwilę i zdarzę powiedzieć jak najwięcej

- On? – prychem pogardliwie – Wyobraź sobie, że jemu zaledwie po tygodniu życia tutaj nie chciało się odprowadzać mnie do kibla! Wyobrażasz sobie? Taka podłość!- do teraz jestem oburzona.

- Fakt. – zgodziła się - Szczególnie, że kibel jest tuż przy lesie. I tej straszliwej stodole.

- Las i stodoła to nic. Najgorszy jest dom. Ty nie wiesz. Za krótko tu jesteś. Ale nie chce.. To naprawdę ważne: nigdy nie rozmawiajmy o tym tam – skinęłam na dom – Nigdy! Ani nie przy Karolu. On i tak traktuje mnie jak histeryczkę. Niczego nie widzi. Jeśli jutro będzie znośna pogoda, to pójdziemy na spacer i tam ci opowiem. Ale nie tutaj. Nie na tej ziemi.

- Dlaczego? – dziwi się Dorota. – Przecież Karol nie usłyszy, wygodka jest za daleko!

I już wiem, że oszukiwała. Nie wyczuwała niczego.
Po prostu, chciała sprawić mi przyjemność.
Nikt nic nie wyczuwa. Tylko ja.

W poniedziałek od rana pada. Karol wstał ze zwykłą punktualnością, a ja razem z nim. Wspólne śniadanie, zanim wyszedł do pracy, było żelaznym punktem naszego dnia. Żaden dotychczasowy kryzys ani kłótnia nie zdołały powstrzymać mnie od współtowarzyszenia mężowi przy porannym posiłku. Przyjazd mojej siostry tym bardziej nie odmienił naszych przyzwyczajęń.

Liczyłam na ładniejszą pogodę, chciałam pokazać Dorocie okolice, ale nie wszystko przecież można zaplanować. Umieściliśmy ją w tak zwanym pokoju gościnnym, którego okna wychodziły - może niezbyt szczęśliwie - na las. Właściwie to nie mieliśmy wyboru: mogła zamieszkać albo tam, albo z nami, ewentualnie w kuchni. Co prawda na górze było coś w rodzaju strychu, ale nie wydawał się on zdalny do zamieszkania bez uprzedniego generalnego remontu. Dorota kategorycznie odrzuciła pomysł dzielenia z nami pokoju „Przez te kilka wieczorów po prostu nie będę wyglądać przez okno” - stwierdziła, szczelnie zasuwając różowe zasłonki, na których pracowicie wyhaftowałam srebrne śnieżynki. Bardzo byłam z nich dumna.

Karol mniej. Kategorycznie zaprotestował, gdy udekorowałam nimi naszą sypialnię. Nalegał, by zawiesić je w gościnnym pokoju.

Pewnie dlatego, że wcale tam nie zaglądał.

W jednym przyznawałam mu racje - ładnie się komponowały z kapą na łóżko koloru fuksji i zielonymi ścianami. Których kolor, nawiasem mówiąc, Karol uważał za wstrętny. Wyznał to kiedyś, gdy chciałam pomalować na podobny odcień kuchnię. Więc zostałam przy bieli. Moich talentów jako malarza pokojowego także nie ocenił zbyt wysoko - za każdym razem, gdy umalowałam kolejne pomieszczenie, i oprowadzałam po nim z dumą Karola, on zauważał tylko niedociągnięcia pędzla, smugi i kropki farby na wykładzinie.

Tak więc mój entuzjazm do prac remontowych wobec braku poklasku nieco opadł.

Pijąc napój zaparzony z trzech łyżeczek kawy, wrzątku i niewielkiej domieszki mleka zastanawiałam się, czy mój mąż zawsze był ze mnie taki niezadowolony. Z moich zdolności, wyglądu, kuchni... Z tego, co czytałam i oglądałam w telewizji, z mojej fryzury i sposobu ubierania się. Kołatały mi się w głowie wspomnienia zupełnie odmiennych zachowań. Jakiś komplementów, przytulania przed snem... Wdzięczności za ciasto, które piekłam mu do pracy... Ale jakoś nie łączyłam tego z tym miejscem. Jakby działa się gdzieś indziej.

Jeszcze w Smolniku, gdy mieszkaliśmy z jego matką. Zanim kupiliśmy ten dom.

Wieki temu.

- Dawno wstałaś? - głos Doroty wyrwał mnie z zamyślenia. Spojrzałam na nią nieprzytomnie. - Nie wiem, czy dawno. Nie wiem, która godzina, nie - nie patrz na ten zegar, on i tak ten zegar nie działa. Miałam zmienić w nim baterie, ale jakoś wyleciało mi z głowy... W każdym razie - wstałam jak zwykle w tygodniu - o czwartej

trzydzieści. – ziewnęłam.

- Po diabła wstajesz tak wcześnie? A! No tak, wyprawić męża do roboty. Jakie to szczęście, że mnie omijają takie cyrki! Kompletnie nie nadaje się na żonę. Jestem na to zdecydowanie zbyt wygodnicka – oznajmiła Dorota, odziana w śliczny szlafrok frotte w tygrysie pasy. Ładnie się komponował z jej rudymi włosami.- I co Nie kładziesz się już potem spać?- wydawała się szczerze zdumiona. Gdy uczepliła się już jakiegoś tematu, wałkowała go w nieskończoność.

Machnęłam niecierpliwie ręką. - Nawet mi się nie chce. Nigdy się nie kładę po wspólnym śniadaniu. I tak bym nie usnęła.

Dorota patrzyła na mnie ze zgrozą - Nie żartuj! Nic dziwnego, że jesteś taka przybita! Niewyspanie powoduje przemęczenie i depresje. Powinnaś o tym wiedzieć, przecież studiowałaś psychologię. – pouczyła mnie siostra. – Naprawdę nigdy się nie kładziesz, po tym, jak Karol odjeżdża do swojej super pracy?

Pytanie postawione wprost skłoniło mnie do zastanowienia. - Nie, nigdy. Kiedyś – tak, ale nie tutaj.

- To ile ty śpisz? – Dorota siada obok mnie i dopija resztkę mojej kawy. – Z tego, co się orientuje, chodzisz spać ostatnia, koło północy .Sama policz, ile godzin na dobę przesypiasz! Dziewczyno, wykończysz się, jak dalej będziesz lekceważyć swoje zdrowie! – przeciągnęła się krzepko, po czym wstała. – W którym garze mogę sobie zagrzać wodę na mycie?

- Weź którykolwiek, bez różnicy. Wszystkie umyłam wieczorem, jak zawsze. – odpowiadam. Dorota odwraca się w moją stronę. – Zawsze myjesz naczynia wieczorem? –pyta. Kiwnęłam głową, nie bardzo wiem, do czego zmierza. – Zawsze myje naczynia z całego dnia, po kolacji. Jak już Karol pójdzie spać. Dzięki temu rano są czyste.

Moja siostra potrząsa głową – A nie byłoby lepiej umyć ich potem? To znaczy – jakoś po wspólnym śniadaniu, w ciągu dnia. Wtedy wcześniej chodziłabyś spać. I byłabyś mniej zmęczona .

Zastanawiam się tylko, po Diabła pyta mnie o takie bzdury. Co za różnica, kiedy myje gary? Drażenie idiotycznych tematów to specjalność całej mojej rodziny! Robię się coraz bardziej poirytowana Do tego wyglądam chyba wyjątkowo bezmyślnie, bo mówi do mnie bardzo spokojnie i pomału. Zupełnie jak nie ona.

– A powiedz mi.. – nalega -Tak na spokojnie: co właściwie robisz przez cały dzień. No wiesz: od wyjścia Karola, do jego powrotu.

Zastanawiam się przez chwilę. Dziwne pytanie – Ja... no nie wiem. Gotuje obiad, sprzątam....

Dorota powoli potrząsa głową. I patrzy na mnie dość dziwnie – Nie. To wszystko robisz po jego powrocie. Rozmawiałam z nim. Obiad przygotowujesz zawsze poprzedniego dnia, po kolacji. Wtedy też zmywasz i sprzątasz... Wtedy robisz wszystko. Dlatego jesteś zmęczona. Pytanie, co robisz w ciągu dnia. Bo wygląda to tak, jakby czas się dla ciebie zatrzymywał, wraz z wyjściem Karola. I ruszał z kopyta wraz z jego powrotem. Stałam tutaj teraz jakieś dwadzieścia minut i patrzyłam na ciebie. Siedziałaś kompletnie nieruchomo i patrzyłaś za okno. A twoja kawa, nawiasem mówiąc, jest lodowata. W piecu, pod kuchnią, dawno wygasło. Dziwne, że

się nie pochorowałaś w takiej arktycznej temperaturze!

-Wyjdźmy stąd! – mówię gwałtownie, podchodząc do okna. Czuje, jakby mój żołądek ścisnęła druciana siatka, a całe wdychane powietrze zatrzymało się w okolicy serca.

Deszcz siąpił nieprzerwanie, gdy szliśmy drogą w kierunku wsi.

Widziałam troskę na twarzy Doroty i wiedziałam, że to przeze mnie. Wczorajszego wieczoru, gdy zagniatą ciasto, wyszli razem z Karolem na papierosa. Dosić długo ich nie było. Pewnie zdążył naopowiadać jej jakiś bredni. Westchnęłam.

Droga biegła w dół, wzdłuż lasu. Drzewa były całe w pąkach. Jutro – pojutrze, kiedy przestanie padać, wszystkie stulone listki się rozwiną, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nadejdzie wiosna....

- Tu płynie potok! – Dorota zatrzymała się raptownie, wskazując w dół. – Nie wiedziałam, że tak blisko waszego domu płynie potok! I to jaki piękny! Możecie czerpać z niego wodę!

- To raczej ryzykowny pomysł. Miejscowi chłopcy wpuszczają do niego gnojówkę – mówię sucho.

- I nikt nic z tym nie robi? To przecież nielegalne! – oburzyła się, zresztą słusznie.

- Nikt nie zadziera z sąsiadami. Potem: chwila nieuwagi, i już płonie ci stodoła – wzruszam ramionami – To oczywiście straszne, że natura jest regularnie wyniszczana przez debili, ale przeciwstawienie się im to jak walka z wiatrakami. Nawiasem mówiąc – z kamieni wyłowionych z tego właśnie potoku zrobiona jest podmurówka naszego domu. Sąsiadka mi mówiła.

Idziemy chwilę w milczeniu. Widzę, że Dorota zbiera się w sobie, szykując do poważnej rozmowy. Trzeba jej przyznać, że nawet w sztormiaku pożyczonym od Karola wygląda atrakcyjnie.

– Kiedy już mówimy o waszym domu... Obiecałaś wczoraj, że mi o nim opowiesz. – zaczyna niepewnie, szukając w kieszeni zapalniczki. Przystajemy pod rozłożystą lipą, żeby osłoniła nasze papierosy przed deszczem. Liściany parasol jest w miarę szczelny.

- Opowiem ci. Ale ostrzegam – nie próbuj mnie pouczać, wysnuwać racjonalnych wniosków i się wymądrzać! Ty nie wiesz nic! Nie byłaś tutaj wtedy!

Wiem, że moja opowieść będzie brzmiała idiotycznie i wiem, że Dorota mi nie uwierzy. Ale tak bardzo chce – muszę – komuś się wygadać...Dlatego do niej zadzwoniłam, ściągnęłam z Radomia, chowając urazę do kieszeni. Żeby to opowiedzieć właśnie jej - jedynej osobie, której mogę zaufać.

– Pamiętasz moją teściową, co nie? Jezu, ale ona mnie nienawidzi! No ale to nie istotne. W każdym razie, po tych potwornie długich miesiącach mieszkania z nią w Smolniku, moim największym marzeniem było wyjechać stamtąd. Oczywiście – bez niej.

Pamiętasz tą wielką mapę Bieszczad, która wisi w Zagrodzie Chryszczatej, tam – w Smolniku? Prawie codziennie, gdy Karol był w pracy, chodziłam tam i wyobrażałam sobie, w ilu miejscach pragnęłabym być. Czasem zamykałam oczy i na ślepo

celowałam, marząc, by wsiąść w samochód, zapakować cały dobytek i ruszyć przed siebie – wiesz: celować na mapę i ruszać w drogę, tam, w miejsce wybrane przypadkiem... Jak te kobiety z „Syren”, pamiętasz ten film z Cher, wiesz który! Uciec, zostawić za sobą wszystkich i wszystko!

Życie tam, w takim chorobliwym zawieszeniu...to wszystko potworne mnie wymęczyło. Karol wtedy bardzo się starał Ale mi wszystko działało na nerwy, sama widziałam, że robię się coraz bardziej jędzowata. I jeszcze... Cholera, głupio o tym mówić... - zawahałam się, czuje, że jestem czerwona jak burak -No, Karol zupełnie przestał mnie pociągać, zaczęłam wręcz się nim brzydzić. Spanie z nim, jego dotyk, to była katorka dla mnie.

Byłam wtedy straszliwie samotna, jak nigdy w życiu! Myślisz pewnie, że samotna to jestem teraz, ale z tamtym nic nie może się równać! Gdy tylko mogłam, uciekałam do Łupkowa, na całe godziny.

Byłam bliska spakowania manatków i powrotu do domu.. I wtedy Karol obiecał, że stanie na głowie, i wyjedziemy ze Smolnika.. Wybierzemy miejsce, on znajdzie jakąkolwiek pracę, wynajmiemy coś i wyrwiemy się stamtąd...

I dotrzymał słowa. – zamilkłam, patrząc na potok. Spływała nim żółta woda, czyli w górach pada. – Karol dowiedział się od kumpla z pracy o tym domu, że jest na sprzedaż. To była niespodzianka dla mnie.. coś w rodzaju wcześniejszego prezentu urodzinowo – mikołajkowo – gwiazdkowego. Sam wszystko załatwił.

Pamiętam, jak przywiózł mnie tu po raz pierwszy, jeszcze jesienią. Pięknie było! To był listopad, niektóre drzewa jeszcze miały liście, takie niesamowicie czerwone! Zupełnie, jak w październiku.

I było słonecznie, pamiętam kolorowe plamy na grubych dechach podłogi ganku. Jakby się było w kościele i słońce przeświecało przez witraże...

Tam, przed domem stała staruszka z kluczami. Karol umówił się z nią wcześniej. Była niesamowicie pomarszczona, jak stare drzewo. I wydawała się taka jakaś twarda, zacięta! Ten dom należał do jej rodziny i to ona go sprzedawała.

Zresztą – to była jakaś chora sytuacja, ona podobno sprzedawała ten dom ze dwa razy, ale potem on do niej wracał. Ludzie go jej odsprzedawali, czy jakoś tak.

Dziwne. W każdym razie – zainkasowała kasę, oddała klucze i więcej się już nie pokazała. Podobno wyjechała gdzieś na Mazury, do swojej rodziny. Moi sąsiedzi mówili coś takiego. Chociaż o samym domu mówić nie chcieli. Wspominali tylko o niej, że życie jej się nie układało, czy jakoś tak. Podobno była kiedyś bardzo poważana, wiesz: najbogatsi gospodarze we wsi, najwięcej ziemi, zadbane gospodarstwo i te sprawy. Ale jej jedyny syn był kaleką, ona dość wcześnie owdowiała i sama musiała uciągnąć gospodarkę. Z czasem miała coraz mniej sił, wiadomo – starość, i żeby się utrzymać, zaczęła wyprzedawać ziemię, kawałek po kawałku... I tak został jej tylko ten dom. Jak przekleństwo. Albo wrzód na zadku. Karol kupił go za bezcen, naprawdę! W dodatku sam budynek był w niezłym stanie: wymieniliśmy dwa okna – w sypialni i w kuchni, bo w gościnnym nie było wypaczone. Przydałoby się zabrać za strych, ale to na jesień.

Na początku, gdy kupiliśmy ten dom, byliśmy przeszczęśliwi. Planowaliśmy, co jak urządzimy, pomalujemy... Chcieliśmy jak najszybciej się tu przeprowadzić,

zagnieździć się w jednym pomieszczeniu i remontować pozostałe. Teściowa poprosiła, żebyśmy zostali u niej chociaż do Bożego Narodzenia, no i tak zrobiliśmy. Wiesz, jak już miałam świadomość, że to już końcówka wspólnego życia z nią, wszystko stało się łatwiejsze. Więc przyjeżdżaliśmy tu w każdy weekend, gromadziliśmy opał, zwoziliśmy rzeczy.. Wprowadziliśmy się jakoś w styczniu. Przez pierwsze dni byłam nabuzowana euforią, Karol też! To był chyba najradośniejszy okres naszego małżeństwa. Byliśmy tacy... swobodni. Pewnie przede wszystkim dlatego, że nie mieliśmy już Reginy na karku.. Wszystko mnie cieszyło, wszystko! Coś się wtedy ze mną stało, coś niezwykłego, i nagle spojrzałam na Karola zupełnie inaczej, i zaczęłam go kochać, tak okropnie kochać, że aż prawie mi serce pękało z tej miłości.

Ale potem nadszedł luty. I wszystko się zmieniło. – zamyśliłam się. - Opowiem ci, co było dla mnie najgorsze – zaczerpnęłam tchu, próbując znaleźć właściwe słowa – Chociaż diabelnie trudno jest o tym mówić, tak, żeby nie brzmiało głupio. Postaram się mówić w miarę składnie i po kolei, bo chronologia zdarzeń jest, wydaje mi się, istotna w mojej historii. O kurde... No dobra..

Tutaj wcześniej zaczyna się praca. Wstawaliśmy z Karolem rano, po czwartej. Robiłam mu śniadanie, kawę, jakieś kanapki do pracy... Po piątej wychodził, wsiadał w samochód i odjeżdżał.

A ja zostawałam sama... Więc przez pierwsze dni po tym, jak pojechał do pracy, wracałam do łóżka, żeby złapać z godzinę snu. I.. to głupie, ale... zajebiście się bałam.

Znasz ten lęk przed zamknięciem oczu? No wiesz: że jak nie będziesz patrzeć, to coś się pojawi ? – Dorota kiwnęła głową, a ja mówi dalej – Niby nie dzieje się nic: leżysz we własnym łóżku, dom zamknięty od środka... Bezpiecznie jak u mamy. Ale ja czułam – jak to sama określiłaś „czyjaś obecność”. Wszystkie te dźwięki, typowe dla starego domu: skrzypienie podłóg, dziwne trzaski, szelesty.. Wszystko to potęgowało wrażenie grozy! Zapalałam światło w całym domu. Leżałam w łóżku – a właściwie: siedziałam, mocno oparta o ścianę, patrząc przed siebie i bałam się nawet mrugnąć.. Serce tak mi łomotało, jakbym zaraz miała pierdyknąć na zawał!

Nie mogłam ani czytać, ani oglądać telewizji, bałam się słuchać radia czy discmana, że stracę czujność i to coś do mnie przypełźnie... Byłam dosłownie sparaliżowana lękiem. Nie wiem, jak przeżyłam te wszystkie poranki.. – Zamyśliłam się, zapalając następnego papierosa. Mówienie o tym na głos było trudniejsze, niż się spodziewałam .

- Najgorzej było około szóstej trzydzieści, wtedy następował jakby punkt kulminacyjny. Nagle wszystko milkło. Cisza trwała tak może z pięć – dziesięć minut i aż dzwoniła w uszach. A potem.. – jak zawsze, gdy się czegoś bałam, miałam łzy w oczach. A teraz, opowiadając, bałam się naprawdę.

– ... potem słyszałam skrobanie w kuchenne drzwi. Takie skrobanie, jakby ktoś przesuwiał po nich dłońmi, opuszkami palców, mniej więcej na wysokości pół metra, i przeciągał palcami do ziemi. Raz za razem, a potem pacnięcie, raz, drugi... Ja... - Głos odmówił mi posłuszeństwa. Dorota głośno przełknęła ślinę.

- Wiem, że to brzmi idiotycznie. Ale to naprawdę sprawiało wrażenie, jakby ktoś się

czołgał, próbował wczołgać do domu i po omacku szukał klamki, albo chciał pchnąć drzwi.

Nie

wiem...

- A sprawdzałaś kiedyś, co to jest?- zapytała – Może ktoś robił sobie żarty, albo to było zwierze, czy drzewo? Gałąź drzewa, ocierająca się o drzwi.. Trzeba było sprawdzić!

Spojrzałam na nią dziwnie- A ty byś sprawdziła? Gdybyś była sama w domu?

- Głupio gadam! – zreflektowała się Dorota – Jasne, że nie! Opowiedz, co dalej?

- No więc – nie sprawdziłam. Nie miałam odwagi. Bałam się, że... wpuszczę to coś do środka. - odetchnęłam głęboko – Ta najgorsza część poranka trwała może z kwadrans. Dzień w dzień. Potem, nagle -jak ręką odjął – wszystko umilkło. Nawet ta chora atmosfera rozwiewała się. Czasem nawet udawało mi się na jakiś czas zasnąć. Jakby... nie wiem, jakby wszystko było snem, koszmarem. Moim chorym przywidzeniem.

- Hmm... Po koszmarze raczej nie udaje się od razu zasnąć. – uznała Dorota – No, a Karol?

- Co? Karol?. Karol przecież był wtedy w pracy! – nie bardzo wiedziałam, do czego zmierza.

- On też to słyszał? Mam na myśli te dni, kiedy nie pracował: soboty i niedziele – dopytywała. Jakby dopiero potwierdzenie moich słów przez Karola gwarantowało ich prawdziwość.

- On? Żartujesz! – pogardliwie parsknęłam – On nic nie słyszał. Pewnie brak mu wyobraźni. Chociaż przede wszystkim wrażliwości i empatii. Przecież nawet nie chciał wieczorem odprowadzać mnie do kibla! Zmuszałam go niemal siłą, bo przez pierwsze dni potwornie bałam się tego lasu. Potem przestałam, bo to, co najgorsze, kryje się w domu.

Wystawiłam dłoń poza liścianą osłonę. Deszcz padał coraz słabiej. Dorota przestępowała z nogi na nogę jak koń wyścigowy – A teraz? To znaczy – ostatnio? Słyszysz te... odgłosy? – zapytała cicho.

- Trudno powiedzieć. Najgorzej było tak mniej więcej do marca. Teraz jest jakby lepiej. I nie wynika to z przyzwyczajenia, bo do tamtego nie dało się przyzwyczaić! Ale starałam się jakoś sobie radzić, prowadząc coś w rodzaju obserwacji. Tak jak obserwuje się różne zjawiska nadprzyrodzone.

To daje dystans, izoluje. Pomaga przetrwać. I tak na przykład wyrobiłam sobie zwyczaj nie kładzenia się spać po wyjściu Karola. Może to głupie, ale kiedy zostaje w kuchni, jest jakoś znośniej. Jakby to coś.. polowało na kogoś z sypialni... – wzdygnęłam się.

- Ale jak to było tak właściwie? Od razu ten dom cię tak.. odrzucił? – dopytywała się.

- Skąd! – zawołałam- Widzisz, ty mówiłaś, że od razu wyczułaś w tym domu chorą atmosferę. Ja wprost przeciwnie! Opowiadałam ci już zresztą, jaka tu byłam szczęśliwa przez pierwsze dni. Zresztą: gdy zobaczyłam ten dom po raz pierwszy, kiedy weszłam do środka, to się w nim zakochałam! Dobra – przerażał mnie las, no i to odludzie. Ale bardzo chciałam tu mieszkać! To wszystko zaczęło narastać z czasem, a najgorzej było w jakiś miesiąc po wprowadzeniu się, w lutym. Przez kilka tygodni przeżywałam istną gehennę! Myślałam, że.. umrę od tego. Albo zwariuje...

Ale potem zaczęło się uspokajać. Pewnie, że wciąż czuje, że coś jest nie tak. A ty coś słyszałaś? – zainteresowałam się. Dorota wzdrygnęła się tylko – Nie! Na szczęście!

- Z jednej strony – faktycznie – na szczęście, ale z drugiej – to może być koronny dowód mojej choroby psychicznej! – roześmiałam się gorzko – Zdaje sobie sprawę, że Karol uważa mnie za wariatkę. Pewnie już gromadzi materiały dowodowe, żeby dożywotnio mnie zamknąć w jakimś zakładzie! – spojrzałam na Dorotę. Zaczerwieniła się.

– On... Martwi się o ciebie. Wczoraj rozmawialiśmy i mi mówił... Wiesz: wydaje mi się, że się pomyliłam co do niego. Mówił, że jest tępy, prostacki i ograniczony. Źle go oceniłam. Przepraszam.

- Daj spokój! Zresztą: kto wie – może przeciwnie: to ty widziałaś go takim, jakim jest, a ja- takim, jakiego chciałam widzieć. – wzruszyłam ramionami. Tak naprawdę, Karol obchodził mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg.

Deszcz ustał. Pachniało ziemią i mokrym kamieniem.

- Idziemy dalej? – zapytałam – Pokarze ci moją wieś. Myślę, że zakochasz się w niej, tak, jak ja!

Wtedy:

Była sobie bardzo piękna Ukrainka, której imienia nikt dziś nie wypowie. Czy była Ukrainką, nie wiadomo, nikt tego już dziś nie pamięta...

Włosy miała czarne, gruby warkocz kołyszący się na plecach w rytm kroku, gdy szła przez wieś. Mieszkała daleko za drogą, z ojcem i gromadą rodzeństwa. Matka jej, o pokurczonej twarzy zmarła przy połogu, próbując wypchnąć na świat kolejne dziecko z chudego łona. Ojciec pił na umór, nie tak, jak inni, tylko przy święcie i sobocie. Bieda była u nich, a gęb do wykarmienia – dużo.

Ukrainka ponoć była najpiękniejsza w całej wsi, może nawet – w całej okolicy: smągła, o krągłych, rozkołysanych biodrach i dumnych ustach. Ale była też najbiedniejsza. I jakby obca. Oni nie powinni byli tu wracać: jej ojciec i matka, za wcześnie na to było! Za wcześnie, by przypominali o sobie o o tamtych przegnanych!

Tu, gdzie teraz siedzimy, był wielki sad i urodzajna ziemia. Piękne gospodarstwo, z którego ostała się tylko stara stodoła. Mieszkali tu Gospodarze, tacy prawdziwi, ona i on; no i ich syn. Jedyny. Podobno to ona nie mogła więcej dzieciaków urodzić: tego jednego rodziła trzy doby i coś poszło nie tak, coś w niej uszkodził ten poród.

Prawie umarła, a dzieciak to urodził się chromy, no wiecie, pokurczony jakiś. Gdy go wyciągała na świat położna – zresztą, co to za położna była, pożał się Boże; takimi szczypcami wyciągała, za mocno szarpnęła – i już. Nieszczęście gotowe!

Kto wtedy słyszał, by z niemowlakiem jeździć po doktorach? Chłopak, mówmy o nim Jasiek, nogi miał jak poskręcane. Nauczył się chodzić, wsparty o dwie kule, ale ciągnął te nogi za sobą, jak martwe. On taki mizerny był, drobny blondyn, z włosami jak pierze.

Szło mu dobre dwadzieścia parę lat, może i trzydzieści, a żadna dziewczyna dwa razy na niego nie po patrzyła. Matka jego, leżąc czasem nocą bez snu, wzdychała cicho. A i ojciec myślał pewnie o gospodarce, która pójdzie na zmarnowanie, gdy jego i żony już wśród żywych nie będzie. Co niedziela szli do kościoła, jak wszyscy. Gospodyni zerkała na dziewczęta i zastanawiała się, jak którą uczynić swoją synową.

Tylko, czy jaka dziewczyna zechce dzielić łożę z kaleką? Gospodarze potrzebowali synowej. A jeszcze bardziej: potrzebowali wnuka, krwi z krwi, ciągłości pokoleń, które nie pozwolą wyjałowić Ziemi. Ich Ziemi, cenniejszej, niż złoto i sól..

W domu, w paradnej izbie, klękali przed Świętym Obrazem, modląc się o żonę dla syna.

On się nie modlił.

On tylko patrzył w bok, paląc na podwórzu papierosa.

Ojciec Ukrainki pił wtedy już bardzo i każdemu we wsi był już coś winien. Najwięcej chyba Gospodarzowi, z którym często zdarzało mu się popić.

I nie wiadomo, kto to wymyślił, czy Gospodyni, czy ojciec Ukrainki, no bo na pewno nie Gospodarz. Gospodarz to tylko umiał na harmonii w sobotnie wieczory grać.

Dość, że postanowiono: nie Ukrainka wniesie posag, lecz jej ojciec dostanie za nią wykupne. Tak, że spłaci długi. A jego najstarsza córka poślubi Jaśka.

Uścisnęli sobie dłonie: Ukrainiec i Gospodarz. Gospodyni z uznaniem pokiwała głową i pognęła do proboszcza, dać na zapowiedzi.

Nie wie nikt, co czuła ona – piękna Ukrainka, gdy rozkołysanym krokiem szła przez kościół nie swojej wiary.

Ponoć wcześniej chrzcił ją sam proboszcz.

Ponoć wcześniej nawet nie była Prawosławna, tylko zupełna Poganka!

Podobno piękniejszej od niej nie było panny młodej: czarnooka, dumnie wyprostowana, w białym welonie, z włosami rozpuszczonymi na plecach jak drugi welon, tyle, że czarny. Hardo patrzyła na weselnych gości, usadzona na honorowym miejscu za stołem.

Pan młody głowę miał nisko pochyloną.

W oczy to on nikomu nie spoglądał.

Wesele było jak się patrzy: Gospodyni miała baczenie na wszystko. Młodzi siedzieli w milczeniu, nie gadali wiele. Tylko Ukrainkę co rusz ktoś do tańca wyrwał, aż spódnica jej furkotała. Potem wracała na swoje miejsce, przy mężu, zarumieniona, z oczami jak gwiazdy. Chłopy to aż wzdychały, gdy patrzali na nią. Taka kobita do łóżka takiego mizeroty! Świat nie widział! – cmokali z niedowierzaniem. Gorzałka lała się strumieniami, a jakże, Gospodarz sam pędził i teraz sąsiadom nie żałował. Byle tylko toasty wznosili za przyszłego dziedzica.

A potem nadeszła codzienność.

Domu, do którego wprowadził ją Janek jako swoją, dawno nie ma. Spłonął. Las zajął zgliszcza. Duży to był dom, drewniany. Młodzi dostali swoją izbę, dawną sypialnię Gospodarzy. Odziedziczyli też ich szerokie łożę i na nim mieli spać, jako jedno ciało. Starzy przenieśli się do dawnej spiżarni, tam była odtąd ich izba.

Nikt nie wie, jak to między młodymi było, Ukrainka nikomu się nie zwierzała.

Głowę nadal nosiła wysoko, tyle, że oczy często zapłakane miała.

Gospodyni pierwszej nocy zakradła się pod drzwi nowożeńców, by posłuchać, czy wszystko idzie jak trza. Długo tak stała w ciemności, wytężając słuch, ledwo ważąc się oddychać....

Słyszała kobiecy głos, poszepty, potem długo nic. Wreszcie zirytowany głos swojego syna, gwałtowne poruszenie a potem cisza.

Odeszła od drzwi po godzinie wyczekiwania, kiwając smutno głową. Późno w noc usłyszała, jak Ukrainka płacze, rozpaczliwie i gwałtownie.

Następnego dnia dziewczyna nie była już taka harda, najpiękniejsza we wsi córka ladaczniczy, co to wszystkich na pokuszenie wiodła!

Widać, że Jasiek, mimo, że kaleka, do żony ciężką rękę miał. Często pokiereszowana chodziła a ludzie tylko kiwali głową. Tak to bywa, gdy młoda kobieta pełna ikry, dzieli łożę z kuternogą! Pewnie za często jej się zachciewa.

Ukrainka zacięta była, nigdy się nie skarżyła, nawet wtedy, gdy mąż bił ją do nieprzytomności, krusząc żebra i wybijając zęby.

Nawet, gdy wyganiał ją z izby na śnieg, kazał spać na podłodze, jak psu. Ostatnia w domu jadła i ostatniej należał się szacunek.

Mijały pory roku, Gospodyni patrzyła na nią z coraz większym niezadowoleniem, zaciskając wąskie usta – Powiedz no, moje dziecko, nie jesteś aby brzemienna? – pytała każdego wieczoru, przy kolacji, świdrując wzrokiem synową.

– Taka zdrowa dziewczucha, silna... Mnie już w miesiąc po ślubie mąż zbrzuchacił! A może ty jakieś zioła mieszasz, pijesz, żeby tylko nie dać nam wnuka? Tak nam się odplącasz, za wyrwanie z nędzy?

Dziewczyna nie odpowiadała. Patrzyła tylko teściowej w oczy, jakby chcąc powiedzieć: *Przecież wiesz, właśnie ty, wiesz, jak jest. Tyle nocy spędziłaś pod drzwiami naszej sypialni, słysząc, jak czekam, a on nie przychodzi. Ty wiesz, że ja nie jestem ziemia jałowa, tylko leżąca odłogiem!* Pod jej szyderczym spojrzeniem teściowa spuszczała wzrok.

Młoda żona pracowała ciężko za każdy kęs chleba odplącała kilkakrotnie. Gospodarna była i silna. Teść z uznaniem patrzył na nią. Coraz starszy był zresztą, a na chromego syna nie miał co liczyć. Jasiek całe dni przesiadywał przy piecu, albo na ławce, pod domem.

Już nie chodził do wsi, pod sklep, jak wcześniej, przed ślubem i na początku małżeństwa. Nie mógł znieść kpiących uwag, pytań, kiedy jego żona zaciąży. Słuchać pytań zaślinionych chłopów, czy daje rade. Gdy wrócił stamtąd, po raz pierwszy od ślubu, zbił ją straszliwie, biorąc odwet za każdą usłyszaną obelgę, nienawidząc jej za jej pełne piersi i zmysłowy chód, za jej piękno i za wszystko, czego nie mógł od niej przyjąć.

Gospodarze się nie wtrącali, nie ich sprawa to była, jak syn traktuje żonę. Im chodziło tylko

o

wnuka..

Gospodyni coraz mocniej nienawidziła synowej, wilczym wzrokiem obserwując każdy

jej ruch. Co wieczór, gdy siedzieli wszyscy za stołem, czas zdawał się zwalniać rytm.

Już drugi rok żyła z nimi, jak obcy ptak, coraz bardziej milcząca, Ukrainka o czarnych oczach. Wciąż była piękna, chociaż głowy nie trzymała tak wysoko, a włosy, ciasno zaplecione, nosiła pod chustką.

Zimy były surowe, jak to tutaj. Śnieg był wysoki i skrzypiał pod butami w mroźne dni.

Umarł ojciec Ukrainki, nikt go specjalnie nie żałował.

Ukrainka też nie zawdzięczała mu wiele, ale przepłakała kilka nocy z żalu – nie wiadomo: nad nim, czy nad sobą.

W nocy po pogrzebie, leżąc w ciemności obok męża, wyciągnęła do niego dłoń, po raz pierwszy od ich poślubnej nocy. Leżała cicho, niemal nie oddychając, delikatnie gładząc jego rękę. A on odwrócił się na drugi bok, zniecierpliwiony jej rozpaczą, zmieszany kobiecością.

Ale przynajmniej jej nie uderzył.

Więc daremnie piękna była ona, ta Ukrainka, co to własny mąż nie chciał jej dotyku.

Trzeci już rok żyła z nim, jako żona – dziewica.

I wiedziała, że tak już będzie. Że nigdy nie zazna jego dotyku – innego, niż wtedy, gdy ją bił. Jak w noc po ślubie, kiedy to chciała go przyjąć, jak się męża przyjmuje i onieśmielona przytuliła się do niego. A on odepchnął ją, uderzył, i bił potem długo, leżącą na podłodze i nie rozumiejącą.

Potem, gdy już zrozumiała, żal jej go było, tak strasznie!

Nawet może z tej litości polubiłaby go, chociaż trochę, ale on potwornie ją katował, za wszystko. Jego powykręcane ciało, noc w noc leżące z nią pod jedną kołdrą, nie było jej wstrętne. To ona była wstrętna jemu.

O tym właśnie myślała, czując go obok i patrząc suchymi oczami w ciemność. Siedzieli ze starymi w kuchni, w długie styczniowe wieczory, milcząc do siebie.

Gospodarz włączał radio – czasem odbierało. Gospodyni siedziała z rękami na podołku, kiwając się sennie, ale bystro patrząc. Ukrainka szyła: spodnie dla męża, czasem dziergała swetry.

Już nie szyła ukradkiem, jak w pierwszym roku małżeństwa, maleńkich koszulek.

Dawno straciła nadzieję i szkoda jej było oczu na daremność.

Jasiek po prostu patrzył przed siebie. Coraz drobniejszy, z każdym rokiem gorzej chodził.

- Nie przemęczaj się, synku! – Prosiła miękko Gospodyni, gdy czasem chciał oporządzić zwierzęta. Zirytowany wychodził wtedy za kuchni, z trudem przesuwając kule za kulą. Ukrainka spuszczała wzrok. Zbyt pełna współczucia, by jej to wybaczyć.

- Widzę, jak na nią patrzysz! – Powiedziała Matka pewnej lutowej nocy, leżąc obok męża.

- Co ci, babo, po głowie chodzi? – Zirytował się gospodarz, duży, ciężki chłop o

gęstych brwiach i dziobatej twarzy. Oczy miał jasne, modre, a rzadkie włosy, zaczesane na bok, lekko falowały, dawno posiwiałe. Mało mówił, nie od gadania w końcu jest chłop.

- Ta kobieta... to nie był dobry interes! – Zawyrokowała ona: rozdęta jak maciora pod perkalową, szarą nocną koszulą

Dawniej była piękna. Lecz mleczną skórę zniszczył mróz i słońce, żłobiąc w niej bruzdy, talia z każdym rokiem grubiała a złote włosy wyblakły.

- Przynajmniej jest robotna! – Rzekł on, wzdychając ciężko.

Żona po przez mrok spojrzała na niego ostro – Nie po to ją z Jaśkiem żeniliśmy! Gdyby szło mi o prace, najęli byśmy parobka! Do czego innego nam ona była! Sam wiesz... Miała urodzić nam wnuka. Silnego, jak ona. Żeby miał kto ziemię przejąć. Ale widać pomyliłam, może ona do rodzenia nie zdatna...

- Eh.. Nie powiedział bym! Ona to jakby do tego stworzona! – Gospodarz przypomniał sobie miękkie linie jej ciała, zapach spoconej skóry i roztańczony chód.

- Tak to mówisz, Józek, jakby i ciebie opętała! – Powiedziała podejrzliwie – Ta kobieta to wcielona diablica. Popamiętasz jeszcze moje słowa! – Odwróciła się plecami do męża.

Ukrainka też nie spała, leżała cicho i słuchała, jak za oknem wiatr hula. Z każdą nocą potrzebowała mniej snu, chociaż te samotne noce budziły wszystkie złe myśli. W ciągu dnia ciężka praca trzymała je w szachu, nie pozwalając zawładnąć jej głową. Ale nocą wracały wszystkie upokorzenia i krzywdy, burząc starannie zbudowany spokój.

Tamtej zimy mrozy nie były wielkie, za to śniegu – aż do okien. Co rano Ukrainka na nowo wykopywała tunele, ścieżki do wychodka, obory i głównej drogi. Ale ze wsi nikt nie przychodził. Najbliżsi sąsiedzi mieszkali daleko, a zresztą – komu by się chciało w taką pogodę wychodzić z ciepłej chałupy? Pogaduszki musiały poczekać do wiosny.

Siedzieli więc sami, przy piecu grzejąc zgrabiące dłonie. Oni i ona – zupełnie im obca.

Czuła na sobie ich wzrok i ich szepty. Ciężka atmosfera oblepiała ją jak wata, pozbawiając tchu. Za oknem miękko kładł się śnieg na śniegu, nowymi warstwami otulając drzewa.

Współcześnie:

- Każdemu się wydaje, że największym poświęceniem w związku jest borykanie się z wojną, chorobą, odległością.. Że te wszystkie „czynniki zewnętrzne” są takimi niesamowitymi przeszkodami, które wystawiają na próbę miłość i mogą ją zniszczyć. Ale tak naprawdę: największym pogromcą miłości jest ta cholerna codzienność! – sama słyszę, że ględzę jak kaznodzieja. Zasapane idziemy pod górę, błotnistą ścieżką.

– Jeszcze tylko kilkaset metrów i zobaczysz tą polemkowską chałupę, o której ci

opowiadałam! – Dorota kiwa głową i uważnie rozgląda się dookoła. Niespodziewanie zrobiło się ciepło – deszcz ustał i zza chmur wyjrzało słońce.

- A jak tam z tobą i Robertem? Byłam taka zaaferowana swoimi sprawami, że nawet nie zapytałam o twoje! Naprawdę mi wstyd! – mówię szczerze.

Dorota uśmiecha się krzywo – No proszę, wreszcie małe wyznanie winy! Kto by się spodziewał! Ale tak na serio: raczej w porządku. Robert coś tam sobie brzdąka, tak dla siebie, na tej swojej gitarze. Kompletnie zarzucił granie z chłopakami z zespołu, a tego nie mogę mu tego darować!

- Faktycznie szkoda! Był bardzo zdolny! Mieli nawet wydawać płytę w tamtej wytwórni, z Meksyku. – przypominam sobie.

- Strasznie mnie to drażni, wiesz, że zrezygnował z muzyki! To była jego pasja, jego życie! A teraz? – Dorota wzdycha, zrezygnowana – On robi się taki... Zwyczajny, wiesz, co mam na myśli!

Niestety – wiem. I szczerze nad tym boleje.

Dorota mówi dalej – Odkąd znalazł pracę w Warszawie, totalnie zmienił klimat. Jego nowi znajomi są po prostu KOSZMARNI!. Wiesz: coś w rodzaju dziadowskiej „warszawki”, podróbki tych snobów - klubowiczów. Znajomi Roberta mają aspiracje intelektualne, wiesz: czytanie odpowiednich, pseudo – niszowych książek, jak do kina, to nie na amerykański film, broń Boże! Teraz ogląda się kino czeskie, albo rumuńskie. Jak będę musiała obejrzeć kolejny film o tematyce post komunistycznego bezrobocia, albo o nielegalnych aborcjach dokonywanych pokątnie w akademikach, to się porzygam!!

Zachichotałam.

- A śmieję się, śmieję! Nawet nie wiesz, jakie to potworne, samo przebywanie z tymi ludźmi! Ten ich cały inteligencki bełkot, te modne słówka: „hucpa”, „hańba”, „ateusze”, wykształciuchy... O właśnie, cały czas tak o sobie mówią: „my, wykształciuchy to, albo tamto”... - Dorota z trudem złapała kolejny oddech – Podłapali to całe wieki temu, pewnie ze „Szkła Kontaktowego” i teraz wtryniają to słowo, gdzie tylko się da!!! Nienawidzę ich, szczerze!

- Robert zdaje sobie z tego sprawę? – Zapytałam ciekawie.

Nigdy go nie lubiłam, zawsze wydawał mi się za sympatyczny, za ujmujący.. Słowem: fałszywy. Był przystojny: długowłosego bruneta, wysoki, szczupły, o niebieskich oczach. I co trzeba mu przyznać: był świetnym muzykiem. Jego zespół naprawdę mógł się wybić, grali w starym, Black – Metalowym klimacie, a ich kompozycje nawiązywały do prawdziwych mistrzów gatunku.

Jakiś czas temu, zresztą już po moim feralnym ślubie, Robert dostał pracę w Warszawie. Przeprowadził się tam ze Skarżyska i, jak widać, zmienił klimat. Na zdecydowanie mniej mroczny.

- Oczywiście! Wcale przed nim nie ukrywam, co sędzę o nich wszystkich. Banda pedałów! Ta ich chora poprawność polityczna! Oni wszyscy są, oczywiście, feministami, a jakże! Myślałam, że się popłacze ze śmiechu, jak ostatnio chcieli nas zmusić, żebyśmy poszli z nimi „na manife”!! Wyobrażasz to sobie?! Ja na manifie!!! – nie wyobrażałam sobie – A wiesz, że ten kretyn Robert nawet się wahał? „Oj chodź, Skarbie, może będzie fajnie! Wszyscy nasi znajomi idą!” Tego już nie zdzierżyłam, to

był ostateczny dowód jego upadku! Powiedziałam mu, że jak chce, to może robić z siebie idiotę, ale JA na coś takiego się nie piszę. I że może iść, sam. I niech się zastanowi, jakie ideały miał kiedyś, jakim był człowiekiem, a co się z nim stało teraz...- przystanęłyśmy na chwilę, a Dorota nadal opowiadała. – Nie poszedł, został ze mną. I pewnie uważał to za akt niesamowitego poświęcenia! Palant! Czasem zastanawiam się, czy ten nasz cały związek ma sens. Jesteśmy – przede wszystkim, on jest, zupełnie inny, niż kiedyś. Nie jest tym samym facetem, w którym się zakochałam.. Kiedy do niego przyjeżdżam, na weekendy, czuje się, jakbym przyjeżdżała do obcej osoby. Zero tematów do rozmów. Nic wspólnego. Nie wiem, co dalej. Nie pasuje do jego nowego życia.

- Kurde, a może on po prostu zachłysnął się tym wszystkim, jako nowością? Sama wiesz – zaczął zarabiać porządną kasę w tym banku. Stać go na wszystko. Może się otrząśnie i niedługo wróci do normy! – dodając jej ducha, nie czuje się całkiem szczerą. – Zobacz: jesteście razem prawie pięć lat.. Tyle razem przeżyliście, przebrniecie i przez to! Daj mu czas!

- Daj mu czas, daj mu czas! Zupełnie, jakbym słyszała naszą matkę! Czy wszystkim mężatkom tak bije na głowę?! Może jeszcze mi doradzisz, żebym się dostosowała do jego nowego życia i znajomych, co?! Niby z jakiej paki mam się poświęcać? - zirytowała się, pewnie słusznie.

– Nie mówmy o tym teraz, i tak zrobisz, jak uważasz! – łagodzę sytuację. – No i popatrz: jesteśmy na miejscu. Chciałam ci pokazać właśnie ten dom. Popatrz: czy nie jest przepiękny? – wskazałam na starą chatkę, która przycupnęła na polanie, jakieś dwadzieścia metrów od drogi. Z komina unosi się dym, stary, drewniany płot chyli się ku upadkowi, a sam dom musiał zostać pobielony dawno temu.

– Latem to wszystko na pewno tonie w kwiatkach.. – szeptałam, przystając. - Na pewno jest tu wtedy jak w bajce!

- Och! Och! To rzeczywiście prawdziwa, połemkowska chatka! Z grubych belek, krzyżujących się na rogach! – cieszy się Dorota, klaszcząc w dłonie – Właśnie taka, jaką sobie wymarzyłam! Chciałabym mieszkać w takim domku! – sięga do torebki, po aparat.

- Wątpię, żebyś wytrzymała w takim domu – mówię sucho – W tych twoich połemkowskich chatkach potwornie jedzie oborą. Nikt, kto nie jest z tym oswojony, nie wytrwa długo.

- A ty skąd wiesz? – pyta podejrzliwie Dorota.

Wzruszam ramionami. – Kochana, myślisz, że zanim znaleźliśmy ten dom, to nie rozglądaliśmy się za innymi? Jak jeszcze mieszkaliśmy w Smolniku, pewien facet, z Wisłoka Wielkiego bodajże, chciał nam sprzedać taki połemkowski dom, całkiem tanio! Ładny był, i pięknie położony: tuż nad potokiem, na łące... Ach! Do teraz podziwiam tamtą chatkę! Ale w środku tak nieprzyjemnie pachniało, że nie dało rady tam usiedzieć. Gadaliśmy z ludźmi, miejscowymi oni są co prawda oswojeni z tym zapachem, ale szczerze mówili, że nie da się go pozbyć. Wiesz, jak przez całe dziesięciolecia gdzieś mieszkają krowy, załatwiają się i tak dalej, to zapach ich odchodów zostaje już w drewnie, na zawsze.

- Ty to zawsze potrafisz mnie podbudować! – burknęła Dorota, ukradkiem pstrykając

zdjęcia. – Jak przyjadę do was latem, albo jeszcze lepiej: jesienią, wtedy dopiero narobię cudownych zdjęć tego domku! A potem je oprawie i powieszę na ścianie! Bo zaprosisz mnie jeszcze, co?

- Zawsze jesteś u mnie mile widziana! – obiecuje solennie. – Tyle tylko, że nie wiem, czy zostanę tu do jesieni. Nie wiem, czy wytrwam. Bo jeszcze jednego takiego lutego nie przetrwam na pewno!

Siostra patrzy na mnie, podekscytowana. – Pomyślałam sobie, że gdybyś poznała historię tego waszego domu, może.. no nie wiem – wszystko by się uspokoiło? Może ciąży na nim klątwa!! – moje upiorne przeżycia nie budzą jej współczucia, tylko rządze przygód.

- Chodź! Podejźmy bliżej! – Dorota odważnie wchodzi na łąkę - Zrobię lepsze zdjęcie, bo na tych w ogóle nie widać tych świetnych okiennic! – bierze mnie pod rękę i raźnie ciągnie mnie w stronę domu.

– Oj, no chodź! Co ty taki cykor jesteś! – narzeka, czując mój opór. Waham się – No nie wiem, tam ktoś jest.. A ja nie znam tych ludzi, mogą się wściec... - mówię. Dorota podnosi oczy ku niebu. - Bogowie, zmiłujcie się! Przecież nie kradniemy ich krów, nie rozbieramy płotu ani nie robimy czegoś równie skandalicznego! Podejźmy tylko kawałek, i... - jej elokwentną wypowiedź przerywa pojawienie się domniemanego właściciela domu, który wynurzył się z wygodki.

Jest starszawy, ubrany w coś w rodzaju fioletowej kufajki, obuty w gumofilce a na głowie porośniętej siwymi kudłami ma wełnianą myckę.

I patrzy na nas niezbyt przyjaźnie. – Dzień dobry... - mówimy zgodnym, acz drżącym chórem.

- ...bry.. – mruży on, gapiąc się na nas dość tępo.

Uśmiecham się przymilnie, a kątem oka widzę, jak Dorota ukradkiem rozpuszcza włosy – swoją tajną broń w starciu z mężczyznami.

– My się chyba nie zdążyliśmy jeszcze poznać.. Nazywam się Helena Frańka, a to moja siostra – Dorota.. – Dorota z wdziękiem macha dłonią, posiłkując mój mętny bełkot wdziękami, jakimi obdarzyła ją natura.

- Razem z mężem, Karolem – może pan go zna? – taki wysoki, szczupły brunet .. mieszkamy w tym starym domu, za wsią... Sprowadziliśmy się tam niedawno...

- Tak mnie za uroczył pański piękny domek, że chciałam go sfotografować. – przystępuje do natarcia Dorota. - Pozwoliłyśmy sobie wejść na tę oto łączkę, żeby ująć z bliska te przeurocze okienka! - uwodzicielsko zerka na dziada, prezentując rzeczony aparat fotograficzny.

Chłop patrzy na nią, osłupiały – Że co?... – chrząka zbaraniały.

Nagle słyhać gardłowy śmiech i zza jego pleców wynurza się powykęcana starowinka, wsparta na lasce. - No czego tak stoisz, co? – mityguje chłopca – Trza zaprosić miłych gości do domu. Właśnie upiekłam placek! Zjecie pewno placka, co? – uśmiecha się szeroko bezzębnymi ustami.

Patrzemy po sobie niepewnie - Nie chcemy robić kłopotu.. – zaczynam, ale staruszka przerywa mi w pół słowa – Ale! Żaden kłopot, naprawdę! Mieszkamy sami z synem, rzadko kto tu zagląda. A czasem chciałoby się z kimś pogadać. Chodźcie, chodźcie.. No! Rusz się, Zdzisiek, widzisz, że panienki onieśmielone, przywitaj się! – Zdzisiek

niemrawo wyciągnął wielką łapę. Powstrzymując przykre myśli o jego pobycie w wygodce i bakteriach coli na nie umytych rękach, krzepko uścisnęłam jego dłoń.

Weszliśmy do domu, w ciemnej sieni zdejmując zabłocone buty. Gospodyni zapędziła nas do dużego pokoju, który w istocie okazał się dość ciasny.

Na honorowym miejscu, zawieszony naprzeciw drzwi, widniał święty obraz przedstawiający Madonnę z Dzieciątkiem. Pod oknem, przysłoniętym różowo – seledynową firanką, stał fotel, jednoznacznie wskazujący na ulubione zajęcie pani domu.

Telewizor, ozdobiony ręcznie wydzierganą serwetką, stał opodal fotela. Gospodyni dzieliła widać czas na gapienie się w telewizor i na drogę. Zapewne sama nas wypatrzyła i zamierzała sprowadzić do domu, a pojawienie się Zdziszka było przypadkowe.

- Siadajcie, siadajcie! Zaraz zrobię herbatki i przyniosę ciasto! No! Proszę! – wskazała nam krzesła. Usiadaliśmy niepewnie, rozglądając się po pokoju.

– Miałaś racje – Dorota pochyliła się w moją stronę – Czuć tu oborą, i to diabelnie! – zmarszczyła nos. Święty obraz, który z bliska okazał się zwykłym oleodrukiem, raził słodko zestawionymi kolorami.

Zdzisiek poczłapał w nieznanym kierunku. Może umyć ręce...

Staruszka wróciła nadszpiewanie szybko, niosąc talerz pełen ciasta. Za chwilę pojawiła się znowu, z herbatą. Niepewne, czy wypada zaproponować pomoc, siedzieliśmy w milczeniu. Wreszcie i ona siadła za stołem.

– Ano tak! To co, jesteście z miasta, tak? No, częstujcie się, jedzcie na zdrowie! – zachęcała. Sięgnęliśmy po ciasto. – Bardzo dobre! – wymruczałam, Dorota kiwała głową i przewracała oczami z całkiem wiarygodnym zachwytem. Staruszka uśmiechnęła się – Miło popatrzeć, jak młodym apetyt dopisuje! Tak, świeże powietrze. W mieście takiego powietrza nie uświadczysz..

- To piękna okolica! – zgodziłam się. – Wyjątkowa. A pani domek jest pięknie położony!

- No, na widoki nie narzekam. Ale latem strasznie dokuczają nam bąki. – mówi poważnie starowina, a ja wkładam mnóstwo wysiłku w zachowanie kamiennej twarzy. Dorota pozoruje kaszel.

- Może popij herbatą, dziecko. Jeszcze się udławisz! – troszczy się gospodyni, podsuwając szklankę. – Długo tu mieszkam, całe dorosłe życie! Wprowadziłam się tu po ślubie, jakieś... No, już będzie z pięćdziesiąt lat, jak tu mieszkam. Jak te lata minęły! Ech! Ja to z Przemyśla jestem, przyjechałam do Bieszczad, do pracy. W PGR –ze robiłam, wiele lat. Mój mąż leży na tym cmentarzu.. Już ze dwadzieścia lat, jak mu się zmarło. W lesie pracował, panie wiedzą. Udar miał, tak bywa w życiu. Ale nie cierpiał, tak doktorzy mówili. Dobry był z niego mąż, czasem tylko lubiał wypić, jak to chłop. Panie to, przepraszam że pytam, mężatki?

- Ja tak, ale zaledwie od ośmiu miesięcy, na Wielkanoc ubiegłego roku za mąż wyszłam! A siostra się uchowała jako panna! – wskazuje na Dorotę. Staruszka zerka na nią bystro. – Taka ładna dziewczyna, wesoła! Na pewno nie jednemu chłopcowi w głowie zawróciła, tak, tak.. No ale młoda pani jest, czas ma! Teraz młodzi się nie spieszą, zwlekają z małżeństwem, i dziewczyny, i chłopaki. Nie to, co za moich

czasów! Ledwo nam mleko pod nosem powysychało, już się braliśmy do żeniaczki! Tak nam było spieszno! Ale i czasy były inne. Teraz, to.. Mam wnuki w mieście – wyjaśniła kobiecina – Moja córka mieszka w Krośnie, to jak to się u was, w miastach żyje, wiem. Wnuki mówią mi: „Babciu, a do czego tu się spieszyć? Trzeba mieć pracę, pieniądze..”. Za mojej młodości nikt tak na to nie patrzył. Kto wie, jak lepiej? No, a Zdzisiek to jako kawaler się uchował, i chyba kawalerem już zostanie.. Ja w każdym razie jego żony to chyba nie doczekam! – westchnęła – Ale wy wcale nie jecie! Trzeba mieć trochę ciała, jak kobiety, a nie, jak.. Teraz to pokazują takie szkapę w tej telewizji, pożałuj się Boże! A potem głodzą się dziewczyny, bo im się wydaje, że to takie ładne! A ja wam powiem, że chłop to lubi, jak jest za co złapać! – wybuchła rubasznym śmiechem, po czym mrugnęła do mnie – Mężatki wiedzą coś o tym! Co, moje dziecko? – uśmiechnęłam się w odpowiedzi.

- Pani mieszka tu już tak długo.. – Dorota wreszcie doszła do słowa – Pewnie wie pani o wszystkim, co się tutaj działo. Różne legendy, tragedie, romantyczne historie.. Starowinka kiwa głową z dumą – A jakże! Nazbierało się tego, przez tyle lat swoje widziałam! Byłoby o czym opowiadać przez wiele wieczorów, może przez całą zimę!

- Czy jest jakaś ponura historia, związana z tym domem pod lasem, tym na krańcu wioski... - pyta Dorota. Uśmiech znika z twarzy starowiny – A po co wam to wiedzieć? - pyta ostro. Zdumiona, odstawiam szklankę z herbatą.

– Przyszłyście tu węszyć? Rozgrzebywać przeszłość? I co? W gazetach opisać? – podnosi się z krzesła i odwraca się plecami.

- Ja.. Nie, nam .. My nigdy byśmy niczego nie opisywały, ani nawet nie rozpowiadały.. – tłumaczę gorączkowo, nie chcąc jej urazić. – Ja po prostu byłam.. ciekawa? Chodzi mi o to..

- Ciekawa? A cóż tam ciekawego, co? Nasłuchają się takie plotek i przychodzą potem, na spytki! Była c i e k a w a, proszę, proszę! – kobieta niemal toczyła pianę z wściekłości.

Dorota zirytowała się i z impetem wstała od stołu – Niechże pani wreszcie posłucha! Może niefortunnie się wyraziłyśmy, i za to przepraszam, ale musimy wiedzieć, co się tam stało!- Dorota imponuje mi, utrzymując temperament w ryzach.

Staruszka patrzy na nią kpiąco. – One muszą wiedzieć! A co was obchodzi ten dom i losy jego mieszkańców! Co macie do tego!

- Mieszkam tam – mówię po prostu, a jej twarz kurczy się, jakby z lęku.

Wtedy:

- Wiesz, co robić. – Powiedziała Gospodyni, mrużąc oczy. Stary z wahaniem pokiwał głową i od stołu wstał. Siedzieli w kuchni, czekając, aż młodzi udadzą się na spoczynek. Długo czekali. Wreszcie Gospodarz ociężałym krokiem podszedł do drzwi od ich izby, i bez pukania wszedł.

- Wyjdź! – Powiedział do Antka, stając w progu pokoju. Syn posłusznie wstał, nawet nie patrząc.

Ale ona patrzyła na niego, patrzyła tymi swoimi czarnymi oczami, jeszcze nie

rozumiejąc. Odtąd co wieczór przychodził.

Antek siadał w kuchni, na jego miejscu przy Gospodyni, piecu i stole, patrząc w ogień. Nie mówili do siebie.

Wreszcie stary wychodził z małżeńskiej izby, rzucając mu jedno spojrzenie, i szedł dalej, na podwórze i dalej. Aż nad rzekę szedł. Dziko wiosennie szumiała, migocząc tajemnie.

Antek wracał do żony. Siedziała na łóżku, z opuchniętą twarzą, zdrętwiała obrzydzeniem i strachem.

Pierwszego wieczoru, gdy stary położył się obok, krzyczała, wołała Gospodynie, męża, swego Boga... Wołała z głębi siebie. A on położył ciężką rękę na jej ustach, dławiąc krzyk i oddech.

Po wszystkim wychodził.

Noc w noc układał się przy niej, szorstkoskóry, o kwaśnym zapachu.

Przy śniadaniu nie patrzył na nią.

Nikt na nią nie patrzył.

Dziecko miało urodzić się na wiosnę, w marcu. Czowała, że jest silne. Jak ona jest. Będzie.

- Czas, żebyście przenieśli się na swoje! – powiedziała gdzieś tak w lipcu Gospodyni.

– Powiedz im! – rozkazała.

Stary chrząknął. – Kupiłem ten dom pod lasem. Tam się urodzi mój wnuk.

Wnuk?

Nabrzmiałe piersi, pokryte czerwonymi pręgami rozstępującej się skóry i opuchnięte nogi, co nie chciały jej nieść. Jej dziecko kołysało się, ukryte za napiętym, twardym brzuchem.

Gorąc był straszny tamtego lata! Nieprzytomne z upału, napęczniałe muchy obsiadały jej lepką twarz, gdy szła przez obejście. Ciężkim ramieniem odganiała je, gdy w polu robiła. Za każdym razem, gdy się nachylała, do gardła podchodziła jej żółć. Oczy łzawiły od słońca.

- Zostaw to! – Gospodyni nie pozwalała jej pracować. – Jeszcze przez twoją bezmyślność za szybko urodzisz! Martwe, albo pokraczne!- cmokała z niesmakiem i popluwała na boki. Więc przenieśli się na swoje, do domu pod lasem. Sami.

W wyrosłym pod lasem domu nikt nigdy nie mieszkał. Tuż przed wojną wybudowany, wraz z wojną utracił właścicieli.

Kolorowe szybki na ganku, podmurówka z rzecznych kamieni. Niedaleko strumień, za oknami las. Zagajnik dopiero.

Ukrainka wodziła dłońmi po szybie, a plamy kolorowego światła pokrywały podłogę jak kobierzec. Chodziła po pokojach, czując pod bosymi stopami rozgrzane, miłe drewno.

Tak dobrze jej tutaj, tak spokojnie! Dziecko jakby się w niej rozkurczało, może i ono czuło się bezpieczne.

Odkąd zaciążyła, stary nie przychodził do niej nocami.

Odkąd zaciążyła, teściowa nawet zabroniła Jankowi jej bić! Dopóki mieszkało w niej

i c h dziecko, była bezpieczna...

Urodził się na Wielkanoc; *ich* Wielkanoc, jej wielkooki, ciemny chłopczyk.

Na chrzcie dano mu Piotr. Ale ona mówiła do niego inaczej. W swoim języku nadała mu tajemne, najczulsze imię: Koman – Żrebak.. Swemu synkowi szeptała do maleńkiego ucha naprędce wymyślone opowieści i z trudem przypominane baśnie. Cicho nuciła kołysanki.

Nienawidziła go, póki żywił się jej ciałem i krwią. Pokochała, gdy wraz z krwią opuścił jej ciało. Jej wiosenny syn. Upragniony.

„Z takiej miłości – mawiały kobiety w jej wiosce - nic dobrego nie wyniknie! Pan Bóg nie lubi, gdy się kogoś ponad Niego wynosi!”

Współcześnie

- Tamten dom, gdzie się działo najgorsze, jego nie ma. Dawno spłonął. – Staruszka nie patrzy na nas. Wzrokiem jest daleko. Może nawet tam, w czasie i miejscu, o których opowiada - Ona, Ukrainka, go spaliła Tak ludzie gadali. Podobno po tamtej tragedii całkiem oszalała.

Ale ja tam wiem swoje! Nie była szalona. Chociaż mogła być, bo człowiek, to, co w nim w środku jest jak taka rzeka. Całe lata płynie spokojnie, raz wytyczonym korytem, aż nagle – bach! – wszystko się zmienia. Susza będzie, to przyschnie, albo drzewo padnie i zatamuje, albo ktoś bezmyślnie poprzestawia kamienie... I naraz ta spokojna rzeka wszystko za sobą porywa...

Widziałam ją, niedługo po tym, co się stało z małym. Miała taką twardą, zamkniętą twarz, nie płakała. Szła przez wieś, po raz pierwszy niemal od ślubu, sama jedna. Nadspodziewanie piękna. Aż straszna. Wielu pewnie by podeszło, jakoś po ludzku pocieszyć, powiedzieć dobre słowo, ale co tu można powiedzieć? Powiedzieć, że przyjdą inne dzieci? Niby kto byłby ich ojcem? To był cud, że ten kaleka tego jednego chłopaczka dał radę... Chociaż.. Ludzie różnie o tym gadali, ale to były takie złe słowa, niegodziwe! Nie wolno dawać im posłuchu, ja nie dawałam.

Podobno, gdy przyszły wilki, ona akurat z teściami była, u nich w domu, tym spalonym. Ich dom leżał za wzgórzem, prawie pół kilometra od jej. Teściowa całą noc niedomagala, już lata jej przyszły, często miała bóle żołądka, Ukrainka tam poila ją jakimiś ziołami, no i po ludzku jej usługiwała. Wiadomo, że są rzeczy, w których najlepszy chłop żonie nie pomoże... a tamten taki znowu dobry to nie był.

Synek został z kulawym, spał. Nie wiem, jak to się stało, że wyszedł sam z domu, i to jeszcze w taki zimny poranek. Może ojciec nie dopilnował. W to, co opowiadali, że niby specjalnie, że dzieciaka nienawidził... w to nikt normalny nie uwierzy! Inwalidą był przecie, trudno mu było się poruszyć, a dzieciak jak to dzieciak, pewno matki szukał, i jakoś tak się z domu wymknął. Kto ma dzieci, ten wie. Żywe srebro, w jednym miejscu nie usiedzi!

Kulawy był w kuchni. Za stołem siedział. Nie słyszał pewno, jak z lasu wyszły.

Wilki.

Ani, gdy *mały wołał, czołgając się, kryjąc miękki brzuch pod kolanami i łokciami,*

ostrymi na miarę kilkuletniego dziecka.

*Miałbyś cztery lata na wiosnę, pachnącą wiosnę, rozpękniętą pąkami liści..
Wiosnę szumiącą uwolnioną wreszcie spod lodu rzeką. Synku.*

Stężnica, rok 196..

- Ach! Jakże tu u państwa pięknie! – woła z zachwytem ten młody, miły chłopiec o jasnych włosach i długich rzęsach. Gospodyni uśmiecha się, miłym, dobrotliwym uśmiechem, nalewając mu pełen kubek mleka. – Jeszcze ciepłe! Prosto od krowy, pijcie, na zdrowie! – mówi lekko zaśpiewnym głosem.

- Ano tak. Pięknie tu u nas. – gospodarz mówi, jakby to się rozumiało samo przez się. Albo jakby on to uczynił, to piękno. - A co was tu sprowadza...?

No właśnie. Co ich tu sprowadza? – zastanawia się Rafał. Po kiego licha cała ta wyprawa?

Wędrowali po Bieszczadach, tych dziwnych, zapomnianych przez Boga i ludzi Bieszczadach we troje – Magda, Andrzej i on. Wędrowali, tak na dziko, z jedną, niedokładną mapą, objuczeni garnkami, namiotami i butami, dyndającymi po bokach. Magda rozpaczła, bo odciski i bąble miała już nie tylko na nogach, ale i na plecach, od dźwigania ciężkiego plecaka ze stelażem.

Nikt z ich znajomych tu nie był, w Bieszczadach. Może nawet nikt z ich miasta? Tak niedawno zaczęto w ogóle mówić o Bieszczadach...

I jakoś tak samo to wyszło. Nie pamięta nawet już, kto pierwszy zaproponował wyjazd tutaj, chyba zresztą wszystkim chodziło to samo po głowie. Jednogłośnie postanowili, że tu przyjadą. Zobaczyć na własne oczy te góry, i to wszystko. To miała być ich prawdziwa przygoda.

Przygoda! – Rafał miał ochotę splunąć. A przecież...

Nie bardzo wiedzieli, jak dalej iść. Szli przez góry, na Baligród. Mapa niedokładna – a może i dobra, ale jak tu iść, gdy prawie żadnych dróg nie ma..? Rozdzielili się. Magda z Andrzejem poszli w jedną stronę, on w drugą. Któraś z grup powinna w końcu trafić na jakiś ludzi, i dowiedzieć się, jak dotrzeć do celu.

Rafał szedł przez las, tratując jeżyny, miejscami sięgające pasa, i rozglądał się za jakąś ścieżką. Wszystko tu zarosło! Nic, tylko las, krzaki, glina i błoto. Żadnych chałup, ludzi, nawet zwierząt. Nic! Wymarła okolica.

Pewnie skręcili gdzieś źle, i idą teraz – diabli wiedzą gdzie. Może nawet już jest gdzieś po ukraińskiej stronie, kto to wie? Może jeszcze trafi do ciupy, on, i cała jego rodzina przy okazji. Ucieczka z kraju... Całe szczęście, że nie na Zachód! Boże! Ale i tak wszyscy zapłacą za jego wybryki! Rafał miał ochotę płakać jak dziecko. Nic, nic się nie układało!

Zupełnie nie rozumiał, czemu Magda wolą iść z Andrzejem, nie z nim. Przecież... Nie no, to głupie, sam był zły, że tak myśli, ale przecież to *jego* zna dłużej. To on ją zapoznał z Andrzejem, i to z nim powinna...

Już kilka dni temu to zauważył, te jakieś dziwne spojrzenia, rumieńce na jej twarzy, i zbyt błyszczące oczy. Złotowłosa Magda opaliła się, zęby jaśniały bielą, gdy,

roześmiana od ucha do ucha, coś tam szeptała Andrzejowi. I patrzyła na niego tak... Tak przeciągle, sugestywnie, jak nie powinna patrzeć na nikogo, poza nim, Rafałem!

Albo wtedy, jak wszedł po zapałki do namiotu, bo jego zawilgotniały, i nie dało się papierosa odpalić. Zamyślony, wczołgał się do namiotu, z wysoko postawionym kołnierzem... Andrzej czytał jakąś wyświechtaną książkę, w tym swoim okropnym, granatowym sweterku i spodniach po starszym bracie. Myszowaty blondynek, wiecznie pokasłujący i bez apetytu... A ona leżała na brzuchu, rozleniwiona, niedbale przeciągając się, i bawiła się jego włosami, opalona dłonią gładząc jego kark... Andrzej, zaczerwieniony, odsunął się od niej, gdy tylko zorientował się, że nie są sami. Ale ona? Ona uśmiechnęła się tylko, tajemniczo i wieloznacznie...

Do diabła z nią! Za mądry jest, by zwracać uwagę na baby!

One jedno tylko potrafią – spiskować, intrygować, i poróżniać, nawet najlepszych kumpli!

Nawet on i Andrzej przecież... To przez nią, te jej uśmieški, te gierki... I teraz, gdy musieli się podzielić, by szybciej odnaleźć drogę.. Teraz to się okazało, ona pokazała, jaka jest, i na kim jej zależy! Oczywiście, że Magda nie mogła iść sama. Ale dlaczego, dlaczego poszła z Andrzejem? Jakby to się rozumiało samo przez się – stanęła przy nim, i powiedziała „My pójdziemy tędy!” My. My. My!!!

- My, do cholery!! – Wykrzyknął Rafał, i zawstydził się okropnie, bowiem jakieś 150 metrów dalej zobaczył dom. Duży, drewniany dom.

Pierwszy, który napotkali od pięciu dni.

Zupełnie niespodziewanie wszedł wprost na małą, jasną polankę, znajdująca się u podnóża góry, ze wszystkich stron otoczona lasem. Miejsce było tak sielskie, że aż wydawało się nieprawdziwe.

Podszedł do drewnianego, starego płotu, przyglądając sterczące we wszystkie strony włosy, które podrosły podczas tych dwóch tygodni łążenia. Do ubrania poprzyczepiały mu się gałązki i liście, a buty, obciążone gliną, ważyły chyba tonę. Nie wyglądał elegancko, o nie! Ogarnął się, jak mógł, lustrując otoczenie. Duże, zadbane podwórko, za domem – stodoła. Kilka kur wydziubuje ziarno czy glisty. Chuderlawy pies drzemał, przykuty łańcuchem do budy. Żadnego człowieka w pobliżu, Rafał miał nadzieję, że gospodarze siedzą w domu, a nie poszli gdzieś daleko, w polu robić.

Po chwili wahania, zerkając na psa, otworzył furtkę i wszedł na podwórko. Podszedł aż pod sam dom, nim psina wreszcie go zauważyła, zrywając się z nieprzytomnym jazgotem. Naraz drzwi od chałupy uchylły się, i wyjrzała zza nich starowinka w chustce. – No kogo to przyniosło! – wykrzyknęła, ale zaraz ujrzała Rafała i zreflektowała się. – Dzień dobry!

- Dzień dobry pani... Ja bardzo przepraszam, ale szukam drogi do Baligrodu...

- Do Baligrodu? – zdumiała się – A czego pan tedy do Baligrodu idzie?

- A to nie w tym kierunku? – przestraszył się.

- Nie no, kierunek dobry, a Baligród niedaleko, ale czemu pan idzie lasem, a nie szosą?

- Szosą? – zdumiał się.

Kobieta cmoknęła, potrząsając głową – Pan wejdzie może, i mi wszystko

wytłumaczy, bo Pikuś straszny jazgot robi! – zdecydowała.

Rafał niepewnie wszedł do domu przez szerokie, niskie drzwi. Chałupa była duża i stara, zbudowana z grubych belek, parterowa. Zdjął w sieni zabłocone buty i wszedł do pomieszczenia wskazanego przez staruszkę. Był to nieduży pokój, z makatą na ścianie i zegarem. Na półce meblościanki stał komplet kieliszków i karafka, stylizowane na zrobione z brzoźowej kory. Rafał posłusznie usiadł za stołem, na krześle wskazanym przez staruszkę. Ona nie usiadła. Stała w progu, z założonymi rękami, i patrzyła na niego dość surowo.

- No więc...? – zapytała. – Co pan tu robi?

- Nnie... nie rozumiem... - strapił się.

- Niech pan powie, czemu pan tędy do Baligrodu idzie. Lasem. Sam.

- Nie jestem sam!

- Ach, więc jest was więcej?

- No tak, jest ze mną mój kolega, i ko...koleżanka. – prawie zgrzytnął zębami na wspomnienie Magdy.

Jego wzburzenie nie uszło uwagi starowiny. – Proszę, niech pan mówi dalej! Więc jest was trójka, i tak wędrujecie? Po okolicznych gospodarstwach? Pytacie o drogę, tak?

- No... Tak, ale nie zupełnie... - Rafał delikatnie się speszył.

- A czy młody człowiek, taki jak pan, powinien trwonić czas na jakieś wędrowki po lasach, zamiast zając się czymś pożytecznym?- kobieta spojrzała na niego oskarżycielsko.

- Jesteśmy studentami... - wybąkał – Mamy wakacje, i tak sobie wędrujemy...

- No dajmy na to! – kobieta nadal była nieufna.

Ale ugadali się. Rafał uruchomił cały swój urok osobisty, i po krótkiej rozmowie gospodyni nie tylko wskazała drogę, ale i zaprosiła ich wszystkich na obiad. Rafał podziękował i pomknął na rozdroże, tam, gdzie się rozdzielili, i mieli na siebie czekać.

Od razu zauważył, że z Andrzejem coś nie tak. Taki blady był, i jakby zamroczony. On i Magda już czekali na umówionym miejscu.

- Nawet kilometra nie uszliśmy! – powiedziała wystraszona dziewczyna.

- Co się dzieje? – zapytał Rafał, z trudem odrywając wzrok od jej wielkich oczu.

- Chyba ma gorączkę. I brzuch go boli... - szepnęła.

Andrzej rzeczywiście nie wyglądał zdrowo. Rafał westchnął. Zupełnie nie wiedział, co robić – Kurde! Całe szczęście, że poszliście razem. Gdyby sam był, różnie to mogłoby być! – stwierdził.

- Co teraz? – Magda patrzyła na niego jak na bohatera. Nieświadomie się wyprostował.

– No cóż, widzę tylko jedną radę: pójdziemy do tej kobiety, która nas na obiad zaprosiła. Może ona coś doradzi, albo może nawet zgodzi się nas przenocować. Andrzejowi przydałaby się wypoczynek w prawdziwym łóżku!

- U nas miejsca bardzo brak, ale może u syna? Tam pokoiów więcej! – podpowiada Gospodarz, podkreślając sumiastego wąsa. Rafał widzi panikę w oczach Magdy. Warunki, panujące w tym domu, wszechobecny zapach obornika i setki tłustych,

czarnych much, lekko osiadających na ramionach, przerażają dziewczynę.

- A długo pan myśli, że trzeba będzie zostać? – pyta słabo. Gospodarz zerka na nią z wyraźnym upodobaniem.

- Ja tam nie jestem lekarz, ale chłopak chory jest, więc kilka dni to powinniście zostać. – stwierdza, strzykając śliną. Włosy ma przylizane, a paznokcie mocno pożółkłe.

- Kilka dni... - powtarza słabo Magda.

Gospodyni patrzy na nią znacznie mniej łagodnie – Synowa się zajmie waszym kolegą. Jak chcecie, to możecie od razu ruszać stąd do Baligrodu, i tam na niego zaczekać.

- Nie no, przecież nie zostawimy kolegi! – mówi szybko Rafał – Nie chcemy tylko kłopotu sprawiać...

- Kłopot żaden. Jak mąż mówił: u syna i synowej miejsca dostatek! A synowa to na chorobach się zna, wszystkich chorych tu w okolicy pielęgnuje. – Gospodyni już nie wydaje się taka dobroduszna.

- Ale może Andrzeja powinien obejrzeć lekarz... - oponuje słabo Magda.

- To nie miasto, panienko. – oświeca ją kobieta – Tu do lekarza nikt nie jeździ. Sami musimy sobie radzić!

Gospodarz założył znoszona czapkę, i wstał od stołu. - No to ruszajmy. Nie ma co tak siedzieć, muszę dziś jeszcze w pole iść.

Posłusznie wstali, bąkając podziękowania za posiłek. Rafał prowadził Andrzeja, który, osłabiony, szedł samodzielnie, chociaż niezbyt pewnie. Część rzeczy zostawili u gospodarzy, Rafał miał później po nie podskoczyć.

Droga do domu syna biegła pod górę, po bokach rosły drzewa, a potem łąka, łagodnie zamieniająca się w pole. Potem raptownie skręcili w lewo, i szli ostro pod górę, przez gęsty las. Wszyscy niezłe się zasapali, Nawet Gospodarz, popalający śmierdzącego papierosa, umieszczonego w pobrązowiałej, szklanej fifce. – No, i to tu! – powiedział wreszcie.

Rozejrzeli się, zdumieni. Dom ze wszystkich stron otoczony był lasem. Tylko przed frontem, zamiast ogródka, rosło kilka owocowych drzew.

- Jaki piękny dom! – wyrwało się niespodziewanie Magdzie.

Drewniany, solidny dom, stojący na wysokiej podmurówce, starannie ułożonej z dziwnych, drobnych kamieni. Słońce zadrgało w kolorowych szybkach, zdobiących ganek.

Kobieta jest dużo starsza od niego, ciemnowłosa, chuda. Nie odzywa się wcale. I ubrana tak brzydko! W jakiś sweter – czy tak wygląda blezer? – długi do pół uda, ciemny, spódnica do pół łydki, buraczkowa, wszystko luźne, wisi na niej, i jeszcze ta bluzka, co jak ze szmaty uszyta! A włosy? – zaplecione w warkocz, długie, dyndają między łopatkami, odznaczającymi się nawet pod warstwą ubrań. Ale za czasów swojej młodości, musiała być – całkiem całkiem. Wtedy pewnie była niebrzydka. Teraz jest po prostu chuda.

Oczy ma ciemne. W świetle połyskują żółto. Diablica?

Nie, raczej nie. Bliżej jej do tych drewnianych figur Matki Bożej, tych cierpiących.

Kobieta nie jest szczęśliwa.

Rafał otrząsa się, uśmiechając do siebie półgębkiem. Też sobie znalazł osobę godną obserwacji!

Zerka na podwórko, po którym przechadza się Magda, odziana w krótkie szorty i bawełniana podkoszulkę. Jej świeżo umyte, złote włosy schną na wietrze, podkręcając się figlarnie. Grzywka opada na wielkie, niebieskie, oczy i zadarty nosek. Jest opalona i apetyczna, bluzeczka opina jej pełne, ciężkie piersi, kołyszące się swobodnie. Magda nie nosi stanika, dawno już to przyuważył. Dziś jest trochę nadąsana, bo chciałaby już stąd iść, z tego ponurego miejsca, ale Andrzej nadal jest za słaby. Więc muszą poczekać jeszcze dzień, dwa... Magda czuje na sobie jego wzrok, i odwraca się, posyłając mu niechętnie spojrzenie.

Przy obiedzie Rafał siedzi naprzeciw gospodarza – drobnego, pokurczonego mężczyzny, poruszającego się o kulach. Zdaje się, że ma na imię Jasiek, czy Antek. Nie jest pewien – ledwie podali sobie ręce, nie dosłyszał jego imienia. Mężczyzna nie patrzy na niego. Wzrok ma utkwiony w talerzu, je szybko, nerwowo. Nie odzywa się do nikogo.

Jego żona – ta chuda, zniszczona kobieta, o imieniu Krystyna, nie siada z nimi do stołu. Ona tylko podaje jedzenie, a sama je w kuchni, razem z dzieckiem – małym, cichym chłopczykiem.

Trudno z nią porozmawiać. Jest skryta. W ciągu dnia pracuje, pewnie w polu, potem oporządza zwierzęta, sprząta w domu... Rafał nie wie, kiedy znajduje na wszystko czas, zwłaszcza, że wszędzie zabiera ze sobą synka. Ale dziecko jest wyjątkowo grzeczne – patrzy tylko tymi swoimi wielkimi, ciemnymi oczami, prawie nic nie mówi. A ona, ta kobieta, jest prawie ładna, gdy uśmiecha się do dziecka, i coś mówi do niego, tak cicho.

Ale nie, dla niego to niewyobrażalne wszystko jest, gdy to z bliska widzi. To takie straszne, żyć w ten sposób, i na takim odludziu, w takich prymitywnych warunkach. Trudno sobie wyobrazić bardziej prymitywne życie! Głucho, ponuro, wszędzie daleko. Woda ze studni, drewno do porąbania, sklep kilka kilometrów dalej, sąsiadów wcale. Załamać się można! Nic dziwnego, że ci ludzie są tacy... dziwaczni.

- Musi być pani czasem samotna! – zagaił Rafał, uśmiechając się do Krystyny. Podniosła na niego wzrok. W jej twarzy nie było nawet zdumienia. Była tylko pustka.

- Robotę mam, to nie czuje się samotna. – odparła po dłuższych chwili, wyciągając ze studni wiadro.

- Może pomogę? – zreflektował się chłopak.

- Daj pan spokój, jeszcze tylko szkody narobi. – odparła niegrzecznie, bez wysiłku unosząc dwa wypełnione po brzegi wiadra. Ociężałym krokiem ruszyło w stronę domu. Rafał wzruszył ramionami. Chciał być uprzejmy.

Poza tym się nudził. Andrzej był chory, całe dni przesypiał. Magda albo siedziała u niego, albo opalała się. Z premedytacją ignorowała Rafała, jakby chcąc zademonstrować mu, kto jest zwycięzcą w tym pojedynku. Co więc miał robić? W tym domu nie było żadnych książek. Ani nic do czytania, chyba poza biblią, którą

chyba należała do Krystyny. Wątpił, żeby mu pożyczyła akurat taką książkę. Łaził trochę po okolicy, tak mu dni upływały, ale czasem brakowało mu kogoś do pogadania.

Kulawy Antek siedział całe dni na ławce, stojącej pod domem, oparty o ścianę wygrzewał się w słońcu, mrużąc oczy.

Było nudno.

Było sennie.

Było niepokojąco.

Już pierwszej nocy zdarzyło się coś dziwnego.

Obudził go jakiś dźwięk, dość przenikliwy. W pomieszczeniu, w którym spał, panowała duchota, powietrze zdawało się lepkie, a ślina zasychała na zębach. Rafał czuł zapach drewna, i swojego potu, drażniący i ciężki.

Spał w pokoju na stryszku sam, Andrzej zbyt chory był, żeby wspiać się na górę. Krystyna powiedziała, że to udar słoneczny, z wysoką gorączką, potwornym bólem głowy i wymiotami. Bez słowa zajmowała się Andrzejem, którego położyli w małym, zaciemnionym pokoju znajdującym się obok kuchni.

Rafał leżał, otulony ciężką ciemnością, próbując zasnąć. Nie wiedział, co go obudziło, ale był na to zły.

Zrzucił z siebie koc, i obrócił się na plecy, rozkładając ręce i nogi na podobieństwo rozgwiadzy. Było mu okropnie gorąco.

Leżał tak kilka, może kilkanaście minut, dysząc jak pies, i znów to usłyszał. Jakby dochodziło gdzieś z dołu. Odgłos stłumionych głosów, i jakby szarpaniny, i przenikliwy krzyk dziecka. Magda! – pomyślał w pierwszej chwili, zrywając się z łóżka, ale zaraz uznał, że to nie ona krzyczy. To raczej ten mały dzieciak.

Usiadł na łóżku, zastanawiając się, które pomieszczenie znajduje się pod nim. Chyba pokój gospodarzy.

Odgłosy kłótni nasiliły się, Rafał mógł posłyszeć słowa. Męski, zagniewany głos - ...tylko zawadza!

- Nie tobie. Ja zawsze przy sobie go mam.– to kobieta.

- No! Wszędzie go za sobą wleciesz!

- Aby tobie nie zawadzał przecie!

- Abo ja nie mogę na to to patrzeć! Jak tak gapi się, jakby... – męski głos przeszedł w piskliwy falset, a potem ucichł. Rafał tylko jakieś mamrotanie posłyszał, a potem zapłakany głos kobiety – Ja tobie przecie nigdy źle nie życzyłam...

Potem dziecko płakało, a ona prosiła – No cichaj już, cichaj...

- Zabieraj go stąd, zabieraj!

- Proszę, już zostaw jego, my idziemy, no proszę, oddaj mi go! – kobieta błagała, jak pies skomląc.

Potem wszystko ucichło.

Rafał siedział, zdrętwiały, a serce waliło mu mocno. Czuł jakiś lęk, niepewność, a przede wszystkim... niesmak.

Powinien był zejść tam, zapytać, o co chodzi, może pomoc kobiecie, a nie...

No ale to są ich sprawy, nie wypada się wtrącać w małżeńskie zwady. Tak sobie

pomyślał, układając się z powrotem na łóżku.
Ale zasnąć nie mógł prawie do świtu.

Rano, gdy zszedł na dół, dom zdawał się opustoszały. W zajął do kuchni, ale i tam nikogo nie było. Wyszedł na zewnątrz.

Przed domem, na ławce, siedział Antek, leniwie oparty o ścianę. Miał zamknięte oczy i zdawał się drzemać.

- Dzień dobry... - powiedział niepewnie Rafał. Antek podniósł powoli powieki, i popatrzył na niego jasnymi oczami – Dobry. – odparł mężczyzna, wyjmując z kieszeni paczkę papierosów. Przez chwilę jakby się nad czymś zastanawiał – Żona śniadanie naszykowała, w kuchni jest! - przypomniał sobie wreszcie.

W czystej, jasnej kuchni, przykryte talerzem, czekały na niego kanapki. Z przyzwyczajenia bardziej niż z głodu zjadł jedną, stojąc w oknie. Z oddali widział Magdę, leżącą w sadzie na krzasiastym kocu. Zdaje się, że i Antek ją obserwował – cóż, nie dziwne, że patrzy, skoro jego własna żona taka brzydka jest.

Nawet nie usłyszał, kiedy weszła do kuchni. Milcząca jak zwykle, i posępna. Wydawała się speszona jego obecnością: stanęła w drzwiach, obładowana drewnem, po czym ukucnęła przy palenisku, ignorując go.

- Dzień dobry! – zawałał wesoło, patrząc na nią spod jasnej grzywki.

- Dzień dobry. – miała miły głos, o lekko śpiewnym akcencie. Stała plecami do niego, rozpalając pod kuchnią. Pochylona, wydawała się jeszcze chudsza, gdy wygięty łuk kręgosłupa rysował się wypukle pod tkaniną swetra. Nieznośnie powoli wsuwała do pieca równe drewnienka.

- Dziękuję za śniadanie! - powiedział tylko po to, by przerwać krępujące milczenie.

- Nie ma za co! – odparła.

Nie była zbyt rozmowna. Uprzejma też nie bardzo – nie wypadało stać plecami do gościa. Milczenie przedłużało się. Rafał próbował wymyślić jakiś temat do rozmowy, albo chociażby rzucić jakąś banalną uwagę, ale w głowie miał pustkę. Najchętniej by wyszedł z kuchni, ale jakoś nie bardzo to wypadało. Wyglądałoby, że wychodzi ze względu na nią. By zająć się czymkolwiek, zaczął jeść kanapki, lekko zeschnięte – pewnie wcześniej rano je zrobiła. Z trudem przełykał suchy chleb, czując, jak rysuje mu podniebienie i gardło.

Po chwili przyszło dziecko. Nieśmiało stanęło w progu, spoglądając na nich ogromnymi, smutnymi oczami.

- Hej! – przywitał chłopca Rafał, uśmiechając się, nieco sztucznie, ale przyjaźnie. Zawsze lubił dzieci – Jak ci na imię, kawalerze? Wyglądasz mi na prawdziwego zucha!

Dziecko nie odpowiedziało, tylko przybiegło do matki, chowając się za jej nogę. Kobieta pogładziła synka grzbietem dłoni. Wnętrze dłoni miała czarne od sadzy. - No już, Koman, nie bój się pana! Odpowiedz grzecznie! – wymruczała prosto w ciemne włoski dziecka.

Chłopczyk nieśmiało wyjrzał z za matki – Piotluś! – szepnął.

- Piotruś! Bardzo ładne imię! – zawołał Rafał – A ja jestem Rafał. Jeśli się nie boisz,

możemy przedstawić się sobie naprawdę, jak dorośli, i podać sobie ręce! – plółł trzy po trzy, byle tylko coś mówić.

Dziecko spojrzęło pytająco na matkę. – No przywitaj się z panem, skoro taki miły dla ciebie jest! – zachęciła go Krystyna – Nie bój się nic, pan na pewno cie nie ukrzywdzi! – delikatnie klepnęła synka w plecy. Piotruś oglądając się na matkę podszedł do Rafała, uważnie mierząc go wzrokiem.

Rafał przykucnął. – No więc teraz możemy się zapoznać! Ja powiem swoje imię, a ty swoje! Rafał! – wyciągnął rękę do dziecka. Chłopczyk sztywno podał mu dłoń – Piotluś... wyszeptał.

- Bardzo, bardzo mi miło pana poznać! – Rafał energicznie potrząsnął ręką dziecka, nadymając policzki i przewracając oczami. – Barrrdzo mi miłoooo! – zaśpiewał wysokim głosem, cmokając chłopca głośno w rękę. Piotruś wybuchnął głośnym, dźwięcznym śmiechem, takim, jakim tylko dzieci śmiać się umieją. Coś upadło. Rafał odwrócił głowę w stronę Krystyny, która upuściła polano, i zakrywała usta dłonią.

- Coś się stało? – zaniepokoił się Rafał. - Coś źle...?

- Och! Nie, ja tylko... - powiedziała zmienionym głosem, po czym rozplakała się. Rafał wyprostował się i podbiegł do niej. Piotruś, nie rozumiejąc, co się dzieje, patrzył tylko na nich, znów poważny.

- Och! Pan nie rozumie, to tylko... - Krystyna odwróciła od niego twarz – Nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby Piotruś się tak śmiał... - szepnęła.

- Zaręczam pani, że zrobię co w mojej mocy, by śmiał się jak najczęściej! Ależ niech pani nie płacze! – zawołał Rafał, mile polechtany jej wzruszeniem. – No już! – stanowczo obrócił jej twarz ku sobie, i głęboko wciągnął powietrze. Krystyna natychmiast odwróciła się od niego, ukrywając przed jego wzrokiem. Na twarzy, tuż pod całkiem ukrytym pod opuchlizną okiem, widniał ogromny siniak, na wyraźnie odznaczającej się kości policzkowej było otarcie. Rafał przełknął ślinę, próbując ukryć przerażenie. – Co pani...? – zapytał, nim ugryzł się w język.

- To nic! – kobieta machnęła ręką w odpowiedzi. – Zagoi się!

- Twój mąż to potwór! – wyszeptał, bezwiednie mówiąc jej na ty.

Krystyna spojrzęła na niego z przestachem – Ależ co panu do głowy przychodzi! To był... Wypadek, jak to w obojściu... - powiedziała, rumieniąc się z lekka.

Rafał zagryzł wargi.

- Nie wolno tego tolerować! Musimy położyć temu kres! – wykrzyknął zdecydowanie. – Niby jak? - zapytała gorzko – Zresztą, nie gorszy on od innych mężów! – powiedziała to niby obojętnie, ale głos jej lekko zadrżał.

- Już ja coś wymyślę! – Rafał niespodziewanie wszedł w rolę obrońcy i opiekuna. Popatrzył z litością na tę biedną, chudą kobietę, i jej smutnego synka. Pomyślał sobie, jak okropne musi być ich życie. – Niech pani się nie obawia i mi zaufa! – poprosił.

Krystyna westchnęła, potrząsając głową, ale patrzyła na niego inaczej. Jakby z odcieniem nadziei.

- Niech pani mi zaufa! – powtórzył.

Popatrzył na jej chude ramiona, wyraźnie zarysowane obojczyki, ciemne, zaplecione w warkocz włosy. Była taka niedzisiejsza! Objął ją ramieniem, i w geście otuchy

poklepał po plecach. Krystyna przytuliła się do niego nieśmiało – Ach! Pan nawet nie wie! – powiedziała cicho, zrozpaczona.

W jej drobnej, poobijanej twarzy była wzruszająca bezbronność. Pogładził ją po policzku, opuszkami palców rysując jego delikatną linię. Kobieta zadrżała. – Wszystko będzie dobrze! – wyszeptał. Niespodziewanie dla siebie pochylił się nad nią, i ją pocałował. Krystyna szarpnęła się w tył, chcąc uciec z jego ramion, ale on nie wypuścił jej. Przygarnął ją mocniej do siebie. Była taka... rozedrgana, napięta. Czuł, jak jej ciało ożywa, jakby nabierało płynności, oplatając się dookoła niego.

Nie zamknęła oczu. Nigdy później, gdy ją całował, też nie zamykała oczu. Jakby się bała, że wtedy on zniknie.

Sam właściwie nie wiedział, jak to się stało, że ją pocałował. Po prostu nagle jej zapragnął. Takiej chudej i jakby pokurczonej, w brzydkich ubraniach, pachnącej oborą. Nieuczęsanej. Dziwnej.

Nie mógł jej zostawić, gdy leżała taka biedna. Pełna ufności do niego.

Ukucnął tuż obok, gładząc jej twarz. Krystyna odwróciła się, jakby nie mogła na niego patrzeć. Żałowała tego, co się stało...? – zastanawiał się, lecz nie śmiał wprost pytać.

- Kochanie, musimy iść chyba! – szepnął, i przestraszył się, jakby te słowa ktoś inny wymówił. On sam coś innego chciał powiedzieć. *Ona* innych przecież słów oczekiwała. Takich, które powiedzieć należało, a których on nagle zapomniał. Widział w jej twarzy, w sylwetce, w drzeniu dłoni i podkulonych nogach rozczarowanie. Nie tym, co się wydarzyło, ale tym, czego nie powiedział.

Ale chwila minęła, i teraz, gdy już znalazł właściwe słowa, one zabrzmiałyby fałszywie.

Krystyna leżała bez ruchu, jakby obojętna. Jej nagie ramiona i plecy połyskiwały w ciepłym półmroku obory.

- Kochanie, przepraszam cię..... - znów wyraził się niezręcznie.

Obróciła się ku niemu, a jej twarz była zarumienioną ze złości – Jak śmiesz mnie przepraszać teraz! – Prawie krzyknęła. Usiadła, a jej włosy rozsypały się, kryjąc ciało ciemnym płaszczem. Rafał, speszony, ujął jej dłoń – Kochanie, no wiem, jak to głupio zabrzmiało... Ale nie chce dla ciebie źle, uwierz mi! – trzęsła się ze złości, lecz w jej oczach była taka niepewność, i obawa, że żadne ostre słowa nie mogły ich przysłonić. Rafał pochylił się, i ujął jej twarz w dłonie. Zamrugowała, chcąc ukryć łzy. Opuszkami palców roztarł je na jej policzkach. – Nic się nie bój, skarbie, zaopiekuje się tobą! – szepnął. Krystyna przytuliła się do niego, z całych sił. Czuł, jak mocno kołocze jej serce. – No już, nie płacz! – ucałował jej czoło, i podał bluzkę. Po chwili Krystyna wstała, jeszcze na drżących nogach, zapinając koszulę, i na nowo zaplatając warkocz. Pomagał jej oczyszczać ubranie i włosy, oglądając ją ze wszystkich stron. Wszystkie ślady musieli zatrzeć. Od czasu do czasu ich spojrzenia spotykały się, i wtedy spuszczaali wzrok, zarumienieni oboje.

Wiedzieli, że to się stanie, sami przecież to zaplanowali, od kilku wypełnionych oczekiwaniem dni, planowali, by stało się tu i teraz, gdy ona uśpi Piotrusia, i do wieczornego obrządku pójdzie. Nikt nic podejrzać nie będzie.

- Co teraz? – zapytała, stając w drzwiach.
- Co teraz? No oczywiście: będziemy razem! Za kilka dni, razem stąd wyjedziemy. – *teraz* powiedział to, trzeba było, widział to, ale nagle poczuł lek, taki straszny lek o nią, siebie, o to, że nie sprosta, zawiedzie ich oboje – nie, nie oboje, oby – troje raczej, bo przecież jest Piotruś jeszcze... Gdy wreszcie dokonało się to, czego tak pragnął, lęk był silniejszy, niż radość.
- Nie zawiodę cię! – przyrzekł, szczerze w to wierząc.

Współcześnie

- Powiedz moje imię! –ciemność jest dobra. Ogarnia ich miękkimi ramionami, jak oni siebie nawzajem.
Ciemność i zapach. Zapach wyprawionej, przemokniętej deszczem skóry. *Powiedz moje imię!*
Powiedz...
- Helena... – szepta wprost w jej szyję, a ona ze drętwieje ze szczęścia. Od jego bliskości kręci jej się w głowie, jego smaku wciąż głodna, nasycić się nie może.
- Kochanie... kochanie... poczekaj na mnie... poczekaj... - prosi niewyraźnie, czując go.
- Poczekam. – jego głos, i jak dawniej brzmi w jego ustach jej imię. Wrócił tak niespodziewanie.
- Chce czuć! – powoli jej skóra zaczyna wibrować, a krew gęstnieje.
- Wiem. Poczekam, Helenka... - jego mięśnie napinają się, twarde jak zbroja, gdy jej ciało coraz miększe - Skarbie...- w oddechu pieszczota, i w dłoni. Zmarszczki na szyi mają słodki smak
Przyjeżdża co noc. Spotykają się co noc w starej stodole, opuszczonej dawno już. Co noc, odkąd przyjechał w Bieszczady. Odnalazł ją, chociaż tak dobrze zatarła za sobą ślady.
– Jedyne mój, tak. – zagryza zęby na jego rękawie, czuje nieprzyjemny chrzęst sztywnej tkaniny. *Powiedz moje imię!* Imię jak zakłęcie, na zawsze przywiąże ją do niego.
Już przywiązało.
- Nie chce odchodzić od ciebie... Nie odjeżdżaj... - prosi zawsze o to samo, przytulając się do niego na prowizorycznym pościeliu z kurtek. Czuć pod nimi zimny, zatęchły beton.
- Muszę. Przecież wiesz. – odpowiada Janusz, a jej uwrażliwione ucho wyłapuje nuty zniecierpliwienia.
Jego ramie zsuwa się z jej pleców, odsuwa się. Daleko.
– No, Skarbie... – nawet w ciemnościach ucieka przed jej wzrokiem – Pora chyba już iść! – wiedzą to oboje, a kto głośno to powie, jest zdrajcą.
Najbardziej obcy są sobie, ubierając się, bez słowa. O czym tu mówić? – Do jutra! – krótki pocałunek. Drzwi zaskrzypiały rozrywają wieczór.

A potem Helena o gwieździstych oczach wraca do domu.

- Po co przyjechałeś? – Zapytała wtedy. Od razu, gdy podszedł zapytała.

Jest może dziesiąta rano. Stoją pod domem, jej domem, mierząc się wzrokiem. Helena czuje, że nie może złapać tchu, a jej ciało traci konsystencję. Janusz stoi z rękami w kieszeniach, kryjąc uśmiech. Jakby nie widzieli się dwa dni, a nie – prawie dwa lata.

- Stęskniłem się – mówi on, już nie kryjąc uśmiechu. Patrzy na niego z niedowierzaniem

– Co?

- Słyszałem, że wyszłaś za mąż. I przeprowadziłaś się... w Bieszczady. Szukałem cię.

- Tak? – mówi łagodnie, zbyt łagodnie, by brzmieć obojętnie. A jej kark jest zbyt sztywny – Od kogo słyszałeś?

- Spotkałem Dorę, niedługo po tym, jak od ciebie wróciła. Na wiosnę.

- Powiedziała ci? Powiedziała ci, gdzie mieszkam? – zaschło jej w gardle, na pewno dlatego jej głos jest taki ochryply. Jego – po dawnemu ciepły.

– Nie musiała. Wystarczyło, że wyciągnąłem z niej, że mieszkasz w Bieszczadach. I przyjechałem. Najpierw tam, do Łupkowa. Myślałem, że mieszkasz tam, w tamtym domu, w którym kiedyś, ty i ja... -

...mieszkaliśmy

- ..mieszkaliśmy. Pamiętasz chyba?

Pamiętam.

Nie da się zapomnieć. Tamtego lata.

- Miejscowi w Łupkowie, w karczmie, pokierowali mnie tutaj. Daleko uciekłaś! Mieszkasz tu z mężem? – wskazuje na dom. Obojętnie niby.

Helena kiwa głową. – Tak. Właśnie tu teraz mieszkam..y .

- A twój mąż jest w pracy? Czy w domu? – Janusz swobodnie rozgląda się po podwórzu.

- W pracy. – skłamała gładko. Karol wyjechał do Smolnika, na kilka dni, pomóc matce. Po raz pierwszy stwierdziła, że bywa on użyteczny.

Właściwie to byłby, gdyby był – tu teraz. Lecz go nie ma, za to Janusz jest. I cisza między nimi groźna, lecz nie znajduje słów, by ją przerwać.

- Helenka... -Podchodzi bliżej, a ona nerwowo zaciska dłonie na kubku z herbatą. – Jesteś równie piękna, co wtedy... Nic się nie zmieniłaś. – wyciąga rękę i wsuwa opadający kosmyk jej włosów za ucho. Helena odwraca głowę, nie mogąc znieść jego spojrzenia. Dotyku.

– Przestań! Co robisz? – prawie krzyczy, czując, jak napięcie, które zawsze było między nimi, zagęszcza powietrze. Bez dotykania zna aksamitność i szorstkość jego skóry.

- Helenka... - Janusz wyjmując z jej dłoni kubek i nieuważnie stawia na poręczu ganku. – Popatrz na mnie!

Prośba w jego głosie.

– Nie! – mężczyzna ujmując jej twarz w dłonie i podnosi do góry, jakby poprawiał

samochodowe lusterko. – Tęskniłem za Tobą, dziewczyno! – szepta. Czuły jego wzrok.

- Kłamiesz! – szepta i ona, odsuwając się. Musi odejść teraz. Zostawić go.

Niech idzie, jedzie, wynosi się! Jej życie jest teraz tutaj, tak wybrała, i nie żałuje! Niech się wynosi w Diabły! Naprawdę chce to powiedzieć, odważnie wykrzyknąć, odepchnąć go...

...I nagle jest w jego ramionach. Giętkich. Obejmuje go z całych sił, do utraty tchu, czując wypukłość żeber, zapach związanych na karku ciemnych włosów i szorstki zarost. Jego zapach przenika aż do serca. Pożądanie rozlewa się w żyłach jak srebro. Jego głodny pocałunek. Odpowiada na niego jeszcze głodniej, gwałtowniej. Czuje za plecami twardość drewnianych drzwi, i drzazgi wbijające się w przedramiona. Czuje życie, wracające do niej niby wiosna odmrażająca ziemię .

To nie mogło długo trwać. Nie mogło.

Powtarzałam to sobie od tego poranka, gdy obudziłam się sama. Dziwnie głucha cisza w domu, i zimno.

„Nie otwieram oczu” – dopóki nie otworze oczu to, co jest snem, jest prawdą. Między światami. Te dwa tygodnie, które mieliśmy dla siebie, musiały się skończyć przecież. Czas ma wartość stałą. Dziś wraca Karol. A Januszowi kończy się urlop, i wraca też, do siebie.

Do miasta.

Na myśl o mieście, i wszystkich czyhających tam kobietach, ogarnia mnie przerażenie i smutek.

Ale jakim prawem? Jakim prawem wymagam od niego, by żył tam sam, mi tylko wierny, podczas gdy ja... ja mam męża, z którym co noc się kładę!

Czuje pulsowanie w głowie, jakby miała na pół pęknąć.

Wstaje z łóżka, chociaż tak naprawdę, chciałabym już nigdy nie wstawać, a najlepiej po prostu zasnąć, śnić już tylko, o mnie i o nim... Boże!

Jednak wstaję, tyle rzeczy trzeba zrobić, zanim Karol wróci. Pościel zmienić, bo pewnie pachnie kimś innym, ja na swojej skórze zapach innego mężczyzny przeniosłam... Jakiś obiad ugotować, grządki wypielić, posprzątać... Przez te moje amory dom i podwórko wyglądają jak po kataklizmie.

Ale to był dobry czas, jak rany! Najpierw ten weekend, gdy Karol do matki wyjechał, i ja i Janusz spotkaliśmy się tutaj, na ganku... Nie wpuściłam go do domu! – Jakby to jakoś usprawiedliwiło moje cudzołóstwo w oczach świata... Potem, gdy Karol wrócił, spotykaliśmy się potajemnie w tamtej starej stodole, na wzgórzach i nad rzeką, kochając się jak nieprzytomni...

Czy to już jest upadek?

- Moralny upadek to jest już na pewno! - mruczę pod nosem, idąc do wygodki.

Powinni mnie napiętnować szkarłatną literą.

Dlaczego więc jestem taka szczęśliwa na myśl o nim..?

Bo go kocham? Cholera.

Po co mi to?

Wiem już, że teraz będę tęsknić, tak tęsknić, jak nigdy... To, że teraz Karol znów wyjechał, na szkolenie trzydniowe, i mieliśmy z Januszem czas dla siebie, nie poprawiło sytuacji. Mogliśmy spędzać ze sobą każdą chwilę, błędząc po bezludnych okolicach. Jego zapach ciągle w moich włosach, jego smak na moim języku... Co teraz? Jak ja będę bez niego żyć?

Miłość się dokonała, skończyła, nie wróci.

Będę więc żyła przez nieskończoność czasu, czując, jakby ktoś zawiesił mi na szyi ciężki kamień, zginający mi kark i pozbawiający tchu....

Karol przyjechał około czternastej, szczęśliwy i stęskniony. Wysłałam przed dom go przywitać.

- Witaj w domu! – powiedziałam, przytulając go. Uścisnął mnie z całych sił. – Chodź na do kuchni, obiad prawie gotowy! – poganiam go, ale on, jak zawsze pedantyczny, musi wszystko obejść, sprawdzić, czy jakieś zawias się nie poluzowały i czy kamienie w podmurówce dobrze siedzą. Kiedy indziej bardzo by mnie to zirytowało, teraz zadowolona jestem, że mam więcej czasu na ochłonięcie. Siekam właśnie cebulę, gdy wchodzi do kuchni – Jak tam na szkoleniu było? – pytam.

- Ano, jakoś. Dużo nowego się nie dowiedziałem. – podchodzi do mnie, odgarnia mi włosy z karku. Czuje, jak moje ciało sztywnieje w proteście – A co ty porabiałaś? – pyta.

Wzruszam ramionami. – W sumie nic takiego. Trochę spacerowałam po okolicy, trochę czytałam. Jakoś minął mi ten czas.

- Zasadziłaś jakieś nowe rośliny?

- Nie. Nie miałam pomysłu.

- Miałaś tamte przeflancować, te aksamitki.

Cholera, że też on zawsze o wszystkim pamięta – Zapomniałam. Wiesz, jaka roztrzępana jestem!

- Ale za to jak wspaniale gotujesz! Co będzie na obiadek?

- Gruby makaron z sosem z mięsa mielonego i pomidorów, na ostro.

- Na pewno będzie pyszne!

- Mam nadzieję, że będzie ci smakować.

- Och, na pewno.

Rozkładałam talerze na czystej ceracie, wygładzając jej powierzchnie i poprawiając równo ułożone widelce. Cebula skwierczy na patelni, na ostro doprawiona pieprzem i papryką. Karol ze szczegółami opowiada o swoim kursie, pokazuje mi nawet jakieś notatki i schematy. Słucham go, jednym uchem, coraz bardziej pogrążona w myślach.

Czy całe moje życie już będzie tak wyglądać? Aż do końca? Gotowanie obiadków, przekopywanie ogródka, sprzątanie, pranie...

Ej! A czy nie tego pragnęłam, rok temu, gdy braliśmy ślub, i wcześniej, gdy planowaliśmy wspólne życie? Czy wszyscy mi tego nie odradzali, mówiąc: Będiesz tego żałować?!

Naważyłaś sobie piwa, to je wypij! – mawiała moja babcia.

Dam radę to wypić?
Sama?

Trzy miesiące później. Listopad.

- Jak sobie to dalej wyobrażasz? No jak? Co dalej? – Karol krzyczy. Krzyczy strasznie, a ja aż się kule w sobie, ale nie jestem w stanie obronić się przed tym krzykiem.

- Nie wiem. – mowie, trochę bezradna, i trochę zniecierpliwiona. Naprawdę nie wiem, co dalej.

- Boże! A tak cię kochałem! – Karol przestaje krzyczeć. Siada pod oknem, zwiesza głowę. Milczymy. Milczymy długo. Co tu jest do powiedzenia?

Gdyby nie ten SMS... Gdyby nie awaria komputera, gdyby nie tamten przyjazd Janusza, który wszystko między nami odnowił...

Pomyliłam SMSy to się podobno często zdarza. Zamiast do Janusza, wysłałam do Karola - nie wiem, jakim sposobem, nie wiem, jak to możliwe. Wysłałam i już.

To było wczoraj.

Karol był wtedy w pracy, ja w domu. Myśląc o tysiąc spraw równocześnie, odpisywałam Januszowi. Omsknięcie palca na klawiaturze? Odruch? Może była w tym ręka przeznaczenia, które chciało ukrócić tą upokarzającą wszystkich sytuację?

Jakie to ma właściwie znaczenie? Dość, że od tamtej chwili zdarzyło się wszystko.

Bezsenna noc i wstyd, drętwiejący w kościach. Rozpaczliwe myśli, jak wszystko przekręcić, przekłamać, zasłonić swoją winę, a zaraz potem – rezygnacja. Przecież i tak to na nic. Nie umiem kłamać. Nie chce.

Nie ma co ratować. Wszystko zniszczone. Jest mi wstyd.

Najgorszy ze wszystkiego jest właśnie ten palący, purpurowy wstyd, nie pozwalający jeść, spać, usiedzieć w miejscu. Wstyd będący jak cień każdej myśli.

Od tamtego SMSa, którym przypieczętowałam koniec mojego małżeństwa, minęła ledwie doba. A czuje, jakby całe życie mi przed oczami przeszło.

Gdy tylko się zorientowałam, gdy przyszedł ten cholerny raport – *dostarczono do: Karol...*, usiadłam w szoku na krześle, patrząc tępo na ekranik komórki. Co robić? Dzwonić do Karola, odwracać kota ogonem? Co robić? Wypierać się wszystkiego? CO ROBIĆ?!

Nie, na nic telefony, przeprosiny. Na nic kłamstwa. Za późno na wszystko.

Za dużo mam szacunku do Karola, by próbować zatkać to wszystko jakimś lichym kłamstwem. Zasłużył naprawdę.

Chociaż tak bardzo się boje powiedzieć.

Najpierw, po palpatacjach serca, jakie miałam przez blisko godzinę, myślałam, że może wzrok mnie zmylił, że SMS nie pomylił adresata. Bo Karol nie zareagował. A przecież powinien. Gdy własna żona wysłała do niego SMSa, przeznaczonego dla

kochanka, powinien jakoś zareagować, na Boga!

Po pracy nie wrócił do domu. Pojechał do matki, tam spał. Ale tego dowiedziałam się wieczorem, od niej.

Przez cały dzień szalałam z niepokoju. Wraz z upływem godzin, ulga, że Karol nie krzyczy, i nadzieją, że może SMS nie dotarł, walczyły we mnie ze strachem o niego. Że może coś sobie zrobił. Nie odbierał telefonów nawet. Tłukłam się od ściany do ściany, roztrzęsiona, blada, nie mogłam oddychać.

A potem przyszła do mnie prawda.

Dotarła, w każdym szczególe.

Że gdyby tak Karol, zamiast tego jednego SMSa przechwycił wszystkie, razem z bilingiem rozmów... Co by poczuł, gdyby się dowiedział, że...

Że co? Co właściwie? Że pisuje do innego mężczyzny? Przecież to nic złego.

Doprawdy?

Czy zdrada fizyczna była tu najgorsza? Czy najgorsza była moja *nielojalność*?

Bezsenna noc, spędzona w kuchni. Mdłości, skręcające żołądek, kiszki, serce. Coś, co pulsowało we mnie, jak malutki kamyk.

Jak to, więc jestem zdolna, by zdradzić? Ja?

Jakby dopiero wtedy, w tej kuchni, za zimnym stołem, dotarło do mnie, co zrobiłam. Dotarła do mnie *prawda*.

Dlaczego wcześniej jej nie widziałam? Dlaczego nie docierała do mnie?

Bo chciałam widzieć rzeczy takimi, jakie mi się wydawały, nie takimi, jakimi są.

Zdradziłam męża, zdradziłam kilka razy, podczas tych dni, pachnących żywicą i słońcem. Zdradziłam męża, zdradzałam kilka razy dziennie, pisząc i czytając wiadomości do i od innego. Zwierzałam się innemu z najintymniejszych myśli i pragnień, szykując obiad dla męża. Zdradzałam ich obu.

Nie ma dla mnie wybaczenia.

Gdy dotarło to do mnie, to wszystko, co robiłam, miałam ochotę wyć, płakać, na kolanach czołgać się do Karola, i błagać: „Wybacz! Wybacz... I zrozum!”

Ale jak można coś takiego wybaczyć? Jak?

Czułam, jakby ktoś pokrywał gipsem moją twarz, usztywniając jej rysy. Jestem jak martwa.

A potem uaktywniły się rozpaczliwe resztki samokontroli. Narzucające kłamstwo. by go ochronić.

Nie mówić wszystkiego. *To tylko jeden SMS*. Nie mówić. Prawda go zabije. Czasem lepiej kłamać. Tak. Ale czy Karol nie zasłużył naprawdę?

A co mu po prawdzie, która go załamie, zniszczy, na zawsze pozbawi pewności siebie?

Na co komu prawda?

- Co teraz? – przyjechał rano. Nie poszedł do pracy. Siedzimy w kuchni, spokojnie rozmawiamy. Co teraz?

Nie wiem, co odpowiedzieć na tak postawione pytanie. Nie spałam wcale w nocy,

jestem rozbita. Karol nie zapytał o nic, co się wydarzyło. Jego interesuje przyszłość. Ja zawsze żyłam przeszłością, jak idiotka, nie widząc tego, co dobre teraz.

- Nie wiem, czy umiem ci wybaczyć. – mówi szczerze.

- Ja wiem. – spuszcza głowę. Stawiam przed nim kubek herbaty – Nie chce! Zabierz to! – mówi on, rozdrażniony. Wiem, że nie chce tej herbaty, ale ja muszę czymś zająć ręce.

- Właściwie to przyjechałem po swoje rzeczy. Nie mogę dłużej z tobą mieszkać, żyć... Być obok ciebie... Ja nie chcę cię widzieć. – odsuwa herbatę, nie patrzy na mnie.

Cała drętwię. Policzkach płyną mi łzy, i trzęsie mi się broda. Karol zahacza o mnie wzrokiem, i jego twarz ściąga się, w maskę bólu i złości – No czego ryczysz? Trzeba było wcześniej się zastanowić! Jak mogłaś mi to zrobić, czy ty w ogóle wstydu nie masz? I to jeszcze tu, w moim domu! – krzyczy, wreszcie krzyczy, i jest to krzyk straszny.

Zimno mi w środku, jakbym połykała bryłki lodu.

- W ogóle nie myślałaś, jak ja się poczuje? Wcale cię to nie obeszło, prawda? Ryczysz, bo się wydało! A wiesz, co ja czuje? Jestem twoim mężem, do kurwy nędzy, a ty miałaś kogoś na boku! Jesteś obrzydliwa! Nie chce cię oglądać! Brzydzisz mnie, jesteś zwykłą szmatą. Wiesz?

Za chwilę odwraca się, zaciska dłonie na blacie stołu, wbijając w niego zbielełe palce.

– Przepraszam. – mówi cicho, zrezygnowany.

- Nie.... Nie przepraszaj. Masz prawo nazwać mnie.. To znaczy, ja wiem, kto jest winny, i... -nie, sama nie wiem już nic.

Najgorsze jest to, że on ma racje. Czuje to podskórnice, że ma racje, wiem to, i brzydzi mnie fałsz mojej skruchy, opartej tylko na lęku.

Czego się boję? Prawdy chyba, i tego, że zobaczy mnie taką, jaka jestem. Chciałabym ocalić resztki szacunku, jaki Karol do mnie żywi. A tylko kłamstwo może to sprawić.

- Kochasz mnie jeszcze? – pyta cicho.

Boże! Wolałabym, żeby nie pytał, nie mówił takim głosem. Pokornym, smutnym głosem, poruszającym wszystkie moje czule struny. Przecież ja go kocham. Ale nie kocham też.

Co odpowiedzieć? Zastanawiam się, czy jeszcze jedno kłamstwo ma teraz znaczenie?

Jakiś głos w mojej otumanionej głowie powtarza, że wszystko ma znaczenie.

Co mam powiedzieć? Usprawiedliwiać się? Jak? Jak można usprawiedliwić zdradę? Powtórzyć za Emily Bronte: „*Nie mogę żyć bez mojego życia? A moim życiem jest on, Janusz, a ty, kochany mężu, to zrozum. I wybac. Nie myśl o mnie źle. A najlepiej nie myśl o mnie wcale. Zapomnij o mnie, ale nadal bądź moim przyjacielem.*”

Dlaczego nie można mieć wszystkiego? Dlaczego wiemy to oboje? Dlaczego dzisiaj ja muszę wysłuchać własnych słów, które kiedyś komuś mówiłam? Komuś, kto

skrzywdził mnie tak, jak ja dzisiaj skrzywdzę ciebie.

Stałam kiedyś, jak teraz stoisz ty, naprzeciw Janusza, i mówiłam, zachrypłym od łez głosem: „Nie możesz mieć wszystkiego, zawsze jest coś za coś. Nie możesz być wolny, i równocześnie być w udanym związku. Nie możesz żyć ze mną, a czasem żyć sam. Albo wybierasz jedno, albo drugie.”

I wybrał wtedy.

Ja też dzisiaj wybiorę.

Kobieta jest wysoka, szczupła i bardzo zdecydowana. Widzę to, nawet z daleka, gdy przez kuchenne okno wyglądam, schowana w cieniu. Czuje jakiś dziwny niepokój, gdy widzę tą kobietę, jak czarną plamę, przyklejona do pnia. Stoi pod starą śliwą, tuż obok ławeczki, i patrzy na dom. Stoi tu już bardzo długo. I tylko patrzy. Narasta we mnie dziecinny lęk, ale postanawiam do niej wyjść.

Pomału schodzę po schodkach, dopinając kurtkę. Już będąc kilka kroków od niej uświadamiam sobie jak okropnie muszę wyglądać: nieumalowana, nieuczesana, w byle jakich ciuchach, zaniedbana do potęgi... No ale za późno, by się cofnąć. Podchodzę do niej, nerwowo zacierając ręce. - Dzień dobry! – mówię niepewnie. Kobieta podnosi na mnie wzrok. Ma około sześćdziesiątki, ubrana jest od stóp do głów na czarno – w elegancki płaszcz, długa spódnicę i szal, włosy upięte ma w kok, niemal całkiem siwy. Jest poważna, a oczy ma bardzo, bardzo ciemne. – Dzień dobry! – odpowiada suchym głosem.

Pod jej badawczym spojrzeniem czuje się nieswojo. Ostatnie dni przeplakałam, nie myłam włosów od... nie pamiętam. W nocy nie śpię. Tęsknie.

Nie za Karolem.

Okropne jest to, że odkąd odszedł, wyrzuty sumienia mieszają się z ulgą, że to skończone.

- Przepraszam, czy mogę w czymś pomóc? – pytam, mając nadzieję, że odmówi.
- Chyba nie. To raczej ja mogłabym pomóc pani. – odpowiada. Wcale nie patrzy na mnie. Ciągle zerka ponad moim ramieniem, jakby wabiły ją kolorowe refleksy drgające w szybkach ganku.

- Jak to? – zastanawiam się, czy aby się nie przesłyszałam, ale nie, chyba nie.

-Ale najpierw chciałabym zobaczyć dom! – otula się płaszczem, a jej twarz jakby się spina. Dziwnie wygląda stojąc tu, pod dziką śliwą, w tym płaszczu i spódnicy, brodząc w trawie po kolana.

Może jest chora psychicznie. Wszystko, co mówi, brzmi absurdalnie. Potrząsam głową, zdumiona. Ostatnio kiepsko u mnie z myśleniem, wszystko dochodzi do mnie z opóźnieniem, nie nadążam za rzeczywistością.

Ale jak można przyjechać do kogoś obcego, i zakomunikować mu, że chce się obejrzeć jego dom?

Zaraz jednak domyślałam się, że pewnie po prostu to ja o czymś nie wiem. Na pewno Karol, za namową matki, dał ogłoszenie o sprzedaży tego domu. Nawet nie raczyli mnie o tym poinformować! – myślę, zniesmaczona.

- Proszę, niech pani obejrzy dom, zapraszam... Tylko może być tam nieporządek, nie wiedziałam, że pani akurat dziś przyjedzie... - plątam się, prowadząc ją przez

wysoką trawę. Nie umiem obsługiwać kosiarki. - Przepraszam za bałagan – powtarzam, gdy wchodzimy do domu.

Wodzi dłońmi po ścianach, podchodzi do okien, stąpając lekko w kolorową poświatę, rzucaną przez szybki. Myśłami jest bardzo daleko – Nie byłaś tu szczęśliwa, co? Ten dom nie jest dla kobiet. Powinnam była go spalić, zamiast tamtego. – stwierdza po prostu. Przetykam nerwowo ślinę.

- Wiesz, kim jestem, prawda? – pyta, odwracając się ku mnie.

- Tylko się domyślałam... - boje się jej. Jest taka... czarna. I ma taki ciemny, posępny wzrok.

- Więc powiem ci: jestem Krystyna. – prostuje się, patrząc na mnie z dumą.

- Kry...Krystyna? – imię nic mi nie mówi.

Ale wiem, przecież. kim jest. Wiedziałam to już chyba wtedy, gdy tylko zobaczyłam ją przez okno.

- No tak. – kiwa głową - Moje imię jest tu zapomniane. Albo raczej: chcą o mnie zapomnieć, więc nigdy o mnie nie mówią... Jakby to takie proste było! – śmieje się gardłowo - A ja przyjechałam tu do ciebie. Kiedy tylko się dowiedziałam, że znowu ktoś mieszka w tym domu, przyjechałam. – łapie mnie za rękę i patrzy na mnie uroczyście – Czuje się bowiem odpowiedzialna za ten dom. I dlatego czuje się w obowiązku coś ci poradzić. Dlatego właśnie to powiem: musisz wyjechać stąd, i to jak najszybciej! Powiedz mężowi, żeby sprzedał komuś ten dom, najlepiej tej starej, od której go odkupił. Jej on pecha nie przyniesie. – lekceważąco macha ręką.

- Nie mam bardzo kontaktu z mężem... Nasze małżeństwo... Napije się pani herbaty? – pytam. Nic innego, czym mogłabym ją poczęstować, nie mam.

- Tak, napije się. Ach, więc mąż oszedł, no tak... Zdaje się, że będę musiała wszystko ci opowiedzieć, a to potrwa! – Podsunęła sobie krzesło pod okno, i usiadła, splatając dłonie – Nikomu o tym nie mówiłam, wiesz? Ale tobie powiem, bo bardzo smutna jesteś.

Nasypałam herbaty do kubków, nastawiłam wodę. Obserwowała mój każdy ruch – Nie jesteś stąd, prawda? - bardziej stwierdza, niż pyta. – To od razu widać. Tak jak to, że nie jesteś w robocie wprawna I dobrze zresztą. Teraz, gdybym znów była młoda, nie harowałabym tak, tylko więcej żyła. Człowiek dużo błędów popełnia, jak jest młody! Siadaj, dziecko!

Posłusznie usiadłam, patrząc na nią.

- Tak, to będzie długa opowieść... Nie będzie mi miło o pewnych rzeczach mówić, ale trzeba. Już się nie boje, to nie ma nade mną władzy już. Tak jest ze strachem, że jak się czegoś boisz, to jesteś w jego niewoli.

Rozsiada się wygodnie na krześle, patrzy za okno, nie na mnie. Przez chwilę jakby szukała słów, a gdy już je znajduje, opowieść płynie jak rzeka. Opowiada długo, swoim melodyjnym, spokojnym głosem, przenosząc mnie w dawne czasy. Opowiada o ślubie z kalekim Antkiem, o teściach, kontrolujących każdy jej krok. Opowiada o dniach wypełnionych ciężką pracą, i nocach, samotnych i niespełnionych. Mówi o mroźnych zimach, śniegu odcinającym ich od sąsiadów i

świata, wiosennych roztopach i upalnych latach. Mówi o Antku, który ją bił i z chaty wyganiał, i o dziecku, na które wszyscy czekali, jak na zbawienie.

A potem powiada o tamtej nocy, gdy pierwszy raz przyszedł do niej teść. Tak spokojnym, zbyt spokojnym głosem mówi o tym, co najstraszniejsze.

- Ale za tą krzywdę spotkała mnie zadośćuczynienie. Wtedy wszystko miało swoją przyczynę, i głębszy sens. Nie masz dzieci, prawda?

Potrzęsam głową.

- Nie ma takiej krzywdy, której nie wynagrodziłoby dziecko. Ja tak czuję. Kochałam mojego małego synka, tak bardzo go kochałam... Wart był wszystkiego, wszystkich moich krzywd. Jeszcze więcej bym na siebie przyjęła! – w jej wzroku pojawiło się ciepło, jakby coś w niej ożyło. Ale zaraz potem: zgasło - Bogowie są zazdrośni. Ich mamy kochać najmocniej, wiesz?

- Tak mi się zawsze zdawało, ale nigdy tego nie rozumiałam. Nie rozumiałam tej przypowieści o Abrahamie. – mówię ponuro.

- Och! Biblia! Ale dużo tam prawdziwości jest, w biblii. – kiwa głową – Tak to jest, że Bóg zazdrośny jest o naszą miłość. I ukarał mnie za to. A może nie tyle ukarał, ile uznał, że nie jestem godna mego dziecka? – westchnęła - Mój synek nie żył długo. Widać za mocno go kochałam. Spójrz – pokazuje przez okno na fragment podwórka – Widzisz? Tam właśnie go znaleźli. Tuż koło schodów. Wilki wyszły z lasu, i go rozszarpały. Próbował uciekać do domu, czołgał się po schodach,. Ale te zwierzęta go ściągnęły niżej. Wiem, bo na schodach ślady były, krwi trochę.

Mdłości podchodzą mi do gardła. Nie mogę znieść tego jej spokojnego głosu.

- Mój mąż cały czas był w domu. Siedział w kuchni. Na pewno wszystko słyszał. Po prostu siedział w kuchni, i jadł śniadanie. Rozumiesz? Nawet nie wyszedł sprawdzić, co się dzieje. – bezwiednie pije łyk herbaty - Słyszał, jak dziecko jest rozszarpywane przez wilki, i nawet nie wyszedł... Słyszał, jak Piotruś czołgał się do drzwi. Doczołgał się, ale nie sięgnął klamki... Stukał do drzwi. A Antek nawet nie wstał od stołu, nie otworzył. Nie otworzył!

Nagle cały spokój, malujący się na jej twarzy pęka, jakby wyschła na niej forma, i zaczęła kruszeć. Krystyna podnosi głos, aż do przenikliwego krzyku, a jej ramiona, policzki, broda, usta drżą spazmatycznie. Patrzą na to, zdumiona, i nie wiem, co robić, moje ręce, nogi, usta nie słuchają mnie. Jakby umysł stracił połączenie z ciałem.

Ale i we mnie coś pęka. Powoli podchodzę do niej, i obejmuję ją, niepewnie. Ta kobieta zupełnie nie skłania do czułości. Niespodziewanie silnie odwzajemnia mój uścisk, i przytula mnie rozpaczliwie, jak tonący czepia się ratownika. I płacze, tak okropnie płacze, jakby miało jej pęknąć serce.

- To nic, wiesz, to nic... -szepta w pewnej chwili, odsuwając się. – To już tak nie boli. Czas naprawdę leczy rany. Naprawdę! Chociaż niektóre rany nie zagoją się nigdy tak do końca. Nie da się zastąpić jednego dziecka drugim.

Wyciera nos, głośno, i bardzo po ludzku. Już nie wydaje się taka straszna. Nastawiam wodę na kolejne herbaty. W kuchni panuje bałagan, jak i w całym domu.

- Chcesz wiedzieć, jak to potem było? – pyta.

- Jeśli nie jest pani trudno opowiadać... - mówię. Bardzo jestem ciekawa.

- To, co najtrudniejsze, już powiedziałam. Teraz tylko łatwiej będzie. Bo opowiem ci o rzeczach dobrych, które w moim życiu były.

Był młody i jasny, i taki delikatny! Przyszedł tu, razem z przyjaciółmi, młodymi i beztroskimi, jak on. Wszyscy byli dziećmi. Chociaż byli w moim wieku.

Nie pokochał mnie od razu, nie. Ja jego też nie od razu, chociaż tak miło mi było spoglądać na niego, i wyobrażać sobie, jak gładka musi być jego skóra, i jak delikatne jego są ręce...

Był młody i ja byłam młoda, i nikomu na mnie nigdy nie zależało. Nikt też mnie nie całował, ani nie mówił, że piękna jestem.

Spotykaliśmy się w oborze, albo w lesie. Zależy, czy wieczorem, czy w dzień udawało mi się wymknąć. Mąż miał lekki sen, jak ptak, więc nocami nie mogłam się wymykać, bo by się obudził, ale wieczorem do obory szłam, wydoić i oporządzić krowy. I on przychodził też, Rafał.

Nie wiedziałam, że tak to może być, nigdy wcześniej tego nie zaznałam. Miłości, .zakochania... Taki był dobry dla mnie.

To były tylko chwile właściwie, mało czasu mieliśmy dla siebie, wszystko wykradzione. Może ze cztery, może pięć godzin sam na sam by się uzbierało z tych kilku dni, które tutaj spędzili. Obiecywał, że mnie stąd zabierze, że zabierze mnie i Piotrusia. Obiecywał!

Nie wiem, czemu nie przyszedł wtedy. Dlaczego nie dotrzymał słowa.

On i jego przyjaciele wyprowadzili się od nas w sobotę wieczorem, i do Baligrodu mieli zejść. Umówiłam się z Rafałem, że w niedzielę, jak teściowie i mąż do kościoła pojedą, ja się wymknę na nasze wzgórze, z Piotrusiem. Tam, gdzie potajemnie się spotykaliśmy, miał czekać Rafał. I razem mieliśmy wyjechać, najpierw PKSem z Baligrodu, a potem dalej, aż do jego rodzinnego miasta. Tak miało być.

Uzgodniliśmy nawet znak: jakbym nie mogła przyjść, to miałam pranie pośród drzew w sadzie powiesić, żeby z daleka wdział, jak będzie ze wzgórza schodził.

To był dobry plan: tylko w niedziele mąż opuszczał dom, i teściowie zresztą też. A Piotruś od piątku na ból brzuszka narzekał, więc nawet teściowa nie chciała, żeby go do kościoła zabierać, żeby mu się nie pogorszyło aby. Bardzo się o niego troszczyła. Za to jedno wszystko mogłam jej wybaczyć, wszystkie zło, które mi wyrządziła.

Pojechali do kościoła z rana, jak zawsze, ja szybko nasze rzeczy zapakowałam do sakwojażu, ubrałam się odświętnie, i wzięłam Piotrusia na ręce, żeby szybciej iść. To było lato, gorąco było, sływałam potem, gdy szybko szłam, obciążona dzieckiem i bagażem. Już tam wyżej, pośród drzew, Piotruś sam szedł, tylko za rękę go trzymałam. Drzewa zielone były, gęste. I taka cisza była tam, nad urwiskiem, gdzieśmy się umówili.

Nie było Rafała, ale pomyślałam, że spóźni się, że może specjalnie przyjdzie później, bo jeszcze się upewnia, że wszystko gra.

Długo czekałam. Bardzo długo.

Serce tak okropnie mocno mi biło, że to aż bolało. Najpierw chodziłam tam i z powrotem, potem, gdy Piotruś się zmęczył, usiadłam pod drzewem, a on na moich

kolanach zasnął.

A Rafał po mnie nie przyszedł.

Nigdy już go nie widziałam.

Nie zapomniał, na pewno.

Po prostu: wcale nie zamierzał przyjść.

Ale to dopiero z wiekiem zrozumiałam. Wtedy, tamtego dnia, bałam się, że coś mu się stało, że zachorował, albo miał wypadek... Chciałam biec mu na pomoc! Głupia...

Wróciłam do domu biegiem, z Piotrusiem na rękach biegłam na skróty, chciałam przed Antkiem zdążyć, aby szybciej! Nie zdążyłam, ale on nie pytał o nic. Nigdy nie pytał. Tylko mnie bił.

Wtedy też mnie zbił okropnie, tak okropnie!

Nie domyślił się, na szczęście, że chciałam uciec. Gdyby się domyślił, toby mnie pewnie na śmierć zatłukł. Zły był tylko, że udawałam, że Piotruś chory, żeby zamiast jechać do kościoła, po lesie łązić. Sakwojaż przezornie ukryłam w oborze, potem do domu go przeniosłam.

Nie liczyło się, że żebro mi złamał wtedy, ani to, że tak mi brzuch pokopał. Nie kopał za mocno, słabe nogi miał.

Najgorsza była tęsknota za Rafałem. Nawet się cieszyłam, że tak wszystko boli, bo ten ból odrywał myśli od tego bólu, co w środku miałam. I od wspomnień. Kilka dni jak struta chodziłam, kilka miesięcy tęskniłam okropnie.

Z wiekiem zrozumiałam także to, że Rafał wcale mnie nie kochał, tylko chciał na złość tamtej dziewczynie zrobić.

To ona była dla niego tą ważną, nie ja. Ja ukrywałam przed mężem, przed światem nasze spotkania, ale nie tylko dlatego milczałam. Dla mnie ta miłość była wszystkim, była święta. Nie chciałam jej sprofanować słowem, śmiechem... Myślałam, że Rafał to rozumie, tak samo czuje, i milczy też. Widziałam co prawda czasem, przy obiedzie, jak porozumiewawczo patrzy na swojego kolegę. Tak dziwnie... A czasem, gdy Antka nie było w pobliżu, nie przejmował się, i łapał mnie za rękę, chociaż jego przyjaciele byli obok. Wtedy, gdy mnie obejmował, to na nią patrzył. Ale ja tego nie widziałam.

Kto wie, co o nie mówili sobie. Kto wie, czy nawet nie założyli się. Dla niego ja nie znałyłam nic.

W młodości człowiek strasznie głupi jest, i strasznie ślepy. Ale to mija, potem się wszystko wręcz zbyt wyraźnie widzi.

Nie wiadomo, co gorsze zresztą...

I tak to się skończyło, ten sen o szczęściu.

Wiesz, mi to było żal Antka, bardzo żal... Tak się temu dziwisz, że mam dla niego litość, ale on straszniejsze życie ode mnie miał. Bo to, co było złe w moim życiu, to przyszło od ludzi. A to, co on miał złego, to było w nim. Nie mógł uciec od swojego kalectwa, nie mógł go odmienić.

Tak więc pierwszy mężczyzna, którego pokochałam, odszedł. Ale ja lubię wspomnienie tamtej miłości, szczególnie teraz, gdy stara jestem, i to nie boli. Z wiekiem nawet i jego zrozumiałam. On dzieckiem był! Spodobałam mu się, pragnął

mnie, i miał mnie.

Ale co dalej mógł zrobić? Zabrać mnie do miasta, jak obiecywał? Co byłoby dalej? Nic. Chyba nawet lepiej się stało, że uciekł ode mnie. Co mogliśmy sobie ofiarować? Uczucie z czasem by umarło, pozostałaby litość i wzajemny żal. Zmarnowałby sobie życie, wiążąc się z prostą kobietą, która ledwie pisać i czytać umiała. Lepiej już być wspomnieniem, niż być ciężarem.

Teraz Bieszczady są modne, dużo ludzi tu przyjeżdża, nawet z zagranicy. Wtedy po górach nikt nie chodził. Za dużo ich tam było. Niepochowanych. A on przyjechał, jakby duchy tamtych chciał wywołać. Mówił, że szuka militariów. Ja o nic nie pytałam. Miał na imię Jakub, i był bardzo nieładny: wysoki, niezgrabny, chudy. Oczy miał brązowe, i włosy bardzo krótkie, ciemne.

Spotykaliśmy się nad urwiskiem.

Tam, gdzie wtedy byłam z Rafałem umówiona. Przez wiele miesięcy przychodziłam w tamto miejsce, zobaczyć, czy po mnie wrócił. I kiedy zobaczyłam z daleka jakiegoś mężczyznę, stojącego plecami do mnie, serce we mnie zamarło. Myślałam, że to Rafał. A to był Jakub.

Wtedy już nie przejmowałam się niczym. To po śmierci Piotrusia było. Po tym, jak...

Wtedy wszystko, co łączyło mnie z normalnością, zostało przerwane. Wszystkie więzy. Chciałam się zabić najpierw. Teściowie mnie zamknęli w pokoju. Teściowa mnie karmiła, czesała... Kilka miesięcy tak było. Chciałam umrzeć, bo już nic nie zostało.

Wtedy, w najgorszych tygodniach, ona była przy mnie. I wtedy wszystko jej wybaczylam.

Tego też nie rozumiesz, bo nigdy nie utraciłaś nic, tak naprawdę. Ja utraciłam całe swoje życie, nie tylko jego sens. Utraciłam wszystko.

A ona mnie rozumiała. Bo i ona kochała mojego synka. Bardzo kochała. Prawie jak matka.

Spotykałam się z Jakubem w zagajniku, niedaleko rzeki. Niewiele mówił. Mówił ja. Takie rzeczy, których nie powiedziałam nigdy nikomu. A on słuchał. Przyjechał w Bieszczady w maju, przed wojskiem uciekał. Został do zimy.

On mi pokazał dopiero, jak tu jest pięknie, bo patrzyłam na wszystko jego oczami. Widziałam, jak zmieniają się kolory drzew, jak silny jest nurt potoku, jak piękne są kamienie na jego dnie.

Dla niego nie liczyło się, że wyglądam tak chudo i brzydko, że nie mam kilku zębów, wybitych przez męża, że złamana ręka źle się zrosła, i zgrubiła i nierówna jest w niej kość.

Gładził mnie po twarzy, i czułam się, jakbym znowu była panienką, zanim wyszłam za męża, i wszystko stało się takie straszne.

A potem wyjechał. Musiał wracać.

Wiedzieliśmy, że to rozstanie na zawsze: przecież nie mógł do mnie pisać! Nawet, gdyby nie zamierzał wyemigrować, nie mógłby pisać na adres mojego męża... Udało

mu się zdobyć kontakty, miał na Zachód uciec. Nic go tu nie trzymało, nie miał żadnych bliskich. Tak mówił. Dużo rzeczy, które wtedy mówił, okazało się kłamstwem. O żonie też mi nie wspomniał wtedy...

Więc wyjechał. Nasze pożegnanie... Tylko w książkach pożegnania są romantyczne, i bohaterowie mówią sobie jakieś ważne słowa. W życiu jest inaczej. Niezręcznie. Nie wiadomo, co gadać, i kiedy iść. Trochę jest smutku, trochę złości, czasem trochę ulgi.

Po dwóch tygodniach od jego wyjazdu – pamiętam, bo adwent się wtedy zaczynał, wasz adwent, zaczęłam się niepokoić. Już przed Bożym Narodzeniem byłam pewna, że oczekuje dziecka. *Jego dziecka.*

Tak...

Nikomu nie mogłam powiedzieć. Tak bardzo się bałam, że Antek mnie za to zabije, Antek, i teść. Oni by mi nie wybaczyli.

Mogłam iść, teściowej powiedzieć, ale też się bałam. Taki to był strach okropny, ale nie o siebie, tylko o dziecko.

Tak bardzo pragnęłam zachować je, to dziecko, urodzić! Trochę na miejsce Piotrusia, a trochę dla niego samego.

Było inaczej, niż wtedy, gdy z pierwszym chodziłam. Tamto było dzieckiem przymusu, to było dziecko miłości. Nie ma nic wspanialszego dla kobiety, niż nosić dziecko mężczyzny, którego kocha...

Teściowa sama się domyśliła. Źle znosiłam ciążę, ciągle mi mdło było, i zapachy mnie tak drażniły, że w oborze nie mogłam usiedzieć. Zorientowała się szybko, ale nic nie mówiła, jakby nie chciała wiedzieć. Wszystko trudne było: musiałam pracować równie ciężko, jak zawsze, a bałam się, że ciąży przez to nie donoszę. A jeszcze Antek bardzo był bystry, gdy o mnie idzie. On nigdy mnie nie dotykał prawie, ale zawsze obserwował mnie, bardzo uważnie. Latem, czy wiosną, jak coś w obejściu robiłam, całe dnie siedział na ławeczce, albo oparty o stodołę stał, i patrzył na mnie. Palił papierosa za papierosem, i się gapił. Nie lubiłam tego bardzo.

To było niedługo po świętach, gdy teściowa przyszła do mnie, do obory, jak krowę dołłam. Zapytała, czy to teść znowu...

Najpierw nie wierzyła, gdy zaprzeczałam. Nie mogła uwierzyć, nie chciała. My dobrze ukrywaliśmy z Jakubem nasze spotkania. Nikt nas nie widział.

Kiedy powiedziałam jej prawdę, i kiedy uwierzyła, to taka straszna zrobiła się jej twarz, jakby umrzeć miała. Nie krzyczała nic. Powiedziała tylko, że nie mogę urodzić. Że mam się pozbyć płodu. Inaczej powie Antkowi, a on wtedy mnie zatłucze.

Ja wiedziałam, że jeśli jej nie posłucham, i ona powie mężczyznom, to tak będzie. Nie będą mieli żadnej litości dla mnie. Zabiją mnie. Nie od razu, ale zatłuką, zadręczą, jak to oni potrafią. „Nie będzie się bękart na naszej ziemi chował, i naszym chlebem żywił. Chyba rozumiesz? Albo pozbędziesz się płodu, albo po urodzeniu stary je zadusi. Lepiej teraz się pozbądź, póki ono nie czuje.” – tak mi powiedziała, przed wyjściem.

Teściowa wyszła, a ja siedziałam, i nawet płakać nie umiałam. Taki lek mnie chwycił, taki okrutny. Chciałam od razu iść, wziąć jaki sznur, i się na belce powiesić. Spokój

mieć.

Nie byłam w stanie przecież dziecka spędzić, a nie mogłam urodzić, bo wiedziałam, że coś złego by je tu spotkało.

Musiałam więc uciec. Bez pieniędzy, bez niczego... Nie mogłam do wsi iść, żaden sąsiad by mnie nie przygarnął. Oni wszyscy, nawet, gdyby mnie lubili, czy żalowali, nie stanęli by za mną. Dla nich byłam obca. I jeszcze nosiłam dziecko innego, nie swojego męża. Nie ma dla takich zmiłowania przecież.

Zresztą, nawet, gdyby chciał mi ktoś pomóc, to większość sąsiadów u teścia w kieszeni siedziała.

Dlatego musisz zrozumieć, jakie to okropne było. I dlaczego wcześniej nie uciekłam. Ale ja nic swojego nigdy nie miałam. Nawet na autobus nie miałam, zresztą: dokąd tu jechać?

Człowiek ponoć zawsze jest sam, ja właśnie wtedy tego doświadczyłam, tak to odczułam bardzo, że nikogo nie mam, nikt mi nie pomoże, i sama tylko na siebie mogę liczyć. Ale też wtedy coś się zmieniło, jakby otworzyło w mojej głowie: zaczęłam planować, myśleć; jakby razem z tym dzieckiem zamieszkała we mnie odwaga. A może raczej: to dziecko tak bardzo chciało żyć, że ja *musiałam* je ocalić.

Myślę sobie, że to dziecko było i ze mnie, i ze swojego ojca. Od ojca właśnie wzięło odwagę, którą poczułam w sobie wtedy.

Było za zimno, by od razu, w nocy biec do Baligrodu. Nie przesłabym przez las. Kiedyś bym się tym nie przejęła, ale byłam w ciąży przecież, o dziecko się bałam. Postanowiłam do domu wrócić, i do rana poczekać.

Ty nawet nie wiesz, jak to wtedy się żyło tutaj. Bywały zimy, gdy przez kilka tygodni żaden sąsiad nie zajrzał, i sami siedzieliśmy. Nikt tu nie przyjeżdżał, nigdy.

Miejsce wyklęte przez Boga. To jest coś, czego nigdy już nie chciałabym przeżyć. Samotność... i strach.

Śnieg chrzęścił pod nogami, głęboki za kolana, ubity w mrozie. Policzki piekły. Drzwi od obory skrzypiały, a boki krów parowały w mroźnym powietrzu. Zwierzęta czekały na swoje jedzenie, jak każdego ranka. Jednostajnie machały ogonami, i patrzyły na nią swymi łagodnymi, dużymi oczami.

Droga do wsi prowadziła przez las, ze trzy kilometry nim się szło, potem ze dwa kilometry polami, i znowu lasem. To był skrót do wsi. Daleko.

Krystyna oporządzała zwierzęta, oddychając ustami, by nie czuć zapachu. Bardzo niedobrze jej było, jak każdego ranka ostatnio. Trudno jej było się schylać, bo zawartość żołądka podchodziła jej wtedy do gardła. Ocierając pot z czoła, zastanawiała się, co robić.

W lesie pewno śnieg głęboki, głębszy, niż na podwórzu u nich. Jak dotrzeć do wsi?

No i jak *im* się wymknąć? Oni nigdy nie wychodzą. Chyba, że do kościoła. Ale jak śnieg głęboki, to nawet tam nie jadą. Najlepiej toby w niedzielę, jakby jednak pojechali.. No ale w niedziele autobusy nie jeżdżą przecież. I nawet, jakby przeszła te kilometry – do miasta i autobusu to ze dwanaście będzie, to do poniedziałku będzie

musiała czekać, żeby autobus przyjechał.

No nic, trzeba i tak iść tam. Trzeba.

I to teraz, nie myśląc, póki Antek śpi.

Jak się obudzi, będzie jej szukał. Może nie od razu, najpierw pomyśli, że u teściów jest. Dopiero jak ze dwie godziny nie wróci, wtedy on tam po nią pójdzie. Wtedy ona musi być daleko.

Zwierzęta nakarmione. Śniadanie na męża czeka na stole. Gdy Antek wstanie, nie zobaczy nic podejrzanego. Wszystko, jak co dzień jest.

Weszła do domu, zdjęła ubranie, w którym chodziła do zwierząt, założyła codzienny strój, narzuciła kożuch i chustkę. Ze strachem w sercu zakradła się do kuchni, i zdjęła z półki czerwony czajniczek. Tam, w nim, Antek trzymał pieniądze na domowe wydatki. Uważnie nasłuchując, czy mąż się nie budzi, wsunęła dłoń do środka. Coś tam było. Wyjmowała zawartość cicho, moneta po monecie, by nie zabręczały. Niewiele tego... A i tak wszystkiego wziąć nie może. Wzięła tyle, ile uznała, że na podróż do... Dokąd? Dokąd właściwie ona może pojechać? Rafał mieszkał w Warszawie, tak daleko, i nawet dobrze nie wiedziała, gdzie to. Na pewno dotarcie tam drogo kosztuje. A Jakub był z nikąd. Mówił, że nigdzie na długo nie zostaje, raz tu, raz tam. Z Przemyśla był, tam miał rodzinę, u której czasem pomieszkiwał. Ale czy jest tam teraz, nie wiedziała. Pewnie do innego kraju już wyjechał. Więc...

Dokąd?

Zapyta kierowcę, do jakiego miasta mógłby ją zawieźć za to, co ma. Tak robi.

Ostrożnie odstawiła na półkę czajniczek, i schowała pieniądze do kieszeni kożuszka. Na palcach wyszła z kuchni i domu, na ganku dopiero zakładając buty. Powoli przeszła przez podwórko, jakby kierując się w stronę obory i ścieżki, wiodącej do domu teściów. Szła spokojnie, na wypadek, gdyby Antek się obudził, i patrzył przez okno. Dopiero w lesie zaczęła biec.

Całe szczęście, że to tuz po świętach, gdy wszyscy razem do kościoła jechali. I całe szczęście, że od tamtej pory tylko mróz trzymał, a śnieg nie padał ani razu. Dzięki temu mogła biec po śladach płóz, nie zostawiając własnych.

Biegła szybko, bardzo szybko, przed oczami migotały jej pnie brzoź, a w płucach piekło. Od czasu do czasu zatrzymywała się, z lekiem patrząc za siebie. Nikt jej nie gonił. Ale i tak musiała biec.

Więc biegła. Biegła i maszerowała, na przemian, aż zataczała się ze zmęczenia. Odpoczywała chwilę, patrząc na pokryte szadzią, srebrne gałęzie drzew, i aż do szpiku kości odczuwała ich piękno.

Wyglądały jak srebrzyste koronki, te drzewa.

Nigdy już czegoś tak pięknego nie zobaczy.

Ale dość patrzenia, trzeba iść. Więc szła. Musiała dotrzeć do miasta, musiała przejść te dwanaście kilometrów. We wsi wszyscy teścia znali, nie mogła więc tam iść. Zacisnęła zęby, i szła, coraz częściej się ślizgając, a nogi, zmęczone brodzeniem w śniegu, drżały.

Była może w połowie drogi, gdy zatrzymała się raptownie, a serce podeszło jej do gardła. Coś tam było. Coś.

Krystyna stała na ścieżce, zdrętwiała strachem, i wpatrywała się w czarny, ruchliwy

kształt, przemykający między drzewami. To coś biegło, i było niedaleko.
To coś było wilkiem.

Jeszcze jej nie widział. Po prosu biegł równolegle do drogi, przecinał las dużymi susami, z nisko pochylonym łbem, jakby tropił.

Serce łomotało, jakby miało pęknąć, nie miała sił ani uciekać, ani choćby ruszyć się z miejsca, więc tylko stała, nieruchoma strachem.

Wilki poruszają się w stadach, jak tamte, które... To już dwa lata, odkąd Piotruś nie żyje. Może nawet to te same biegną, które wtedy. Za tym jednym inne pewnie biegną, a ona sama tutaj... Ale przecież wilki nie rzucają się na ludzi! No i polują nocą. Chyba, że są głodne. Zima ostra w tym roku.

Otoczyłyby ją: ciemne sylwetki o ostrych zębach, najpierw podchodziłyby kręgiem, to zbliżając się, to cofając. Marszcząc nosy z delikatnym warkotem. Potem, ten najodważniejszy, podbiegłby szybko, i ją ukąsał. Wtedy zaczęłaby uciekać, jakby ból uwolniłby ją z odrętwienia, i pomknęły by za nią, za nią i przez nią, poszarpując ją. W końcu, gdy zabrakłoby jej sił, upadłaby w śnieg, a one rzuciłyby się na nią, wszystkie na raz, takie głodne.... *Czy to boli? Czy to bolało, synku?*

Był sam jeden. Wybiegł na drogę, chcąc ją przeciąć, i spojrzał na Krystynę złotymi oczami. Daleko był, ale widziała ich barwę. I jego mądre, zmęczone spojrzenie.

Był sam, jak i ona. I bał się jej, tak jak ona bała się jego. Może jemu ludzie odebrali tyle samo, co jej wilki? Może. Na tej drodze, sami, byli sobie równi.

Przystanął na chwilę, prężąc grzbiet, i mocniej jeszcze zginając kark, nie spuszczał z niej wzroku. I ona nie mrugnęła.

Wreszcie odwrócił głowę, i pobiegł dalej w las.

Opadła na kolana, prosto w szorstki śnieg, szlochając.

Nie dotarła do miasta. Nie zdążyła.

Brakowało może kilometra, gdy usłyszała znajomy tętent. Konie.

Jak mogła zapomnieć o koniach? Obejrzała się za siebie. Jeszcze nie widać wozu na drodze. Może zdąży uciec. W desperacji rzuciła się w bok, w las.

Wiedziała, że zostawi ślady, ale nikt się raczej nie domyśli, że akurat tutaj zeszła z drogi. Chyba, że jechałby bardzo wolno, i bardzo wnikliwie obserwował śnieg. Musiała spróbować! Drzewa rosły gęsto, biegnąc, ocierała się o gałęzie, osypując z nich sypki śnieg. Nie mogła oddychać, w mroźnym powietrzu zmęczone płuca szybko traciły dech. Ale biegła dalej, w pół oślepla z wysiłku, w przemoczonych dawno butach. Nie słyszała nawet koni już, tylko potok, coraz bliżej szumiący. Skarpa niedaleko była. W pewnej chwili dojrzała kilka drobnych, jasnych sarenek, mknących w oddali. Spłoszyła je chyba.

Zatrzymała się przy skarpie, niepewna, jak dalej iść, w którą stronę. Zejść w dół tu nie mogła, za stromo było. Musi iść wzdłuż potoku, powinno się obniżyć, i wtedy zejdzie. Wiedziała, że do miasta nie ma co iść na razie. Teść pewno już tam był, i czekał na nią. Nie było sensu się w jego łapy pchać.

- Trzy dni i dwie noce się ukrywałam. Pierwsza, ta spędzona w lesie, była najgorsza.
- Spalaś w lesie zimą? Nie zamarzłaś? – zawołałam. Nie wierzyłam jej wcale.
- Uwierz mi, moja droga. Człowiek jest zdolny przetrwać wszystko. Naprawdę wszystko, jeśli ma po co żyć. – przed oczami przemykają jej obrazy z dawno minionych dni.
- A zimno, dzięki zwierzęta...? – nadal nie wierzę.
- Pierwszej nocy nie spałam wcale. Nie wolno zasnąć, gdy mróz.
- Szłaś?
- O nie! Iść przez wilcze tereny? Nie możliwe! Znałam ten las bardzo dobrze, jak nikt inny chyba. Jeszcze za dzieciaka razem z ojcem go złąziłam, jak kłusował, żeby do gęby co było włożyć. Bieda u nas straszna była, człowiek wszystkiego się chwycił!

Wiedziałam, gdzie ambonka jest, i tam wlałam. Narwałam gałęzi świerkowych, tyle, ile się dało, i pownosiłam tam. Nie było mi ciepło, nie, ale przetrwałam, bez jedzenia i prawie bez ognia. Śnieg jadłam. Opatuliłam ambonkę gałęziami, poprzeplatałam je, i prawie szczelne ściany zrobiłam, do butów też nasypałam igieł, żeby stóp nie odmrozić. Miałam zapalki, z domu wzięłam, i rozpałam niewielki ogienek, od czasu do czasu rozpałam, żeby nie zamarznąć. To gasiłam, bo bałam się, że po dymie mnie znajdą, to zapalałam. I tak noc mi mijała. Nie spałam, chodziłam po ambonce, czasem w gałęziach się zakopałam.

I bałam się bardzo. Słyszałam, jak zwierzęta się skradają pode mną. Słyszałam, jak wilki wyją, tuż obok, czekając jakby, bym zeszła... W końcu musiały odejść, bo nad ranem, gdy najzimniej było, słyszałam daleko krzyk jakiegoś zwierzęcia, dopadniętego przez watahę. Potem cisza.

Rano prawie zamarznięta byłam, gorączkę miałam, ale przecież nie mogłam wrócić. Teraz już nie było odwrotu. Wiedziałam, że jeśli w mieście mnie nie znaleźli, ani we wsi, to po lesie będą szukać. Ale ja las lepiej znałam.

Ten dzień, i następną noc, i jeszcze jeden dzień spędziłam w ziemiance, którą kiedyś z ojcem odkryliśmy. Nikt jej nie znał raczej, nikt z żyjących tutaj. To po przesiedleńcach zostało, po drugiej stronie lasu, u szczytu wzgórza, tam, gdzie nikt nie chodził. To była taka ziemianka, piwniczka na jedzenie. Czy zima, czy lato, tak samo zimno było. Nanosiłam drewna, dużo, i gałęzi.

Dobrze, że tam drzwi były, to żadne zwierzęta się nie zadomowiły. Bałam się trochę misia, że tam będzie miał gawrę, ale nie, wyczułabym zresztą z daleka, bo niedźwiedzia to bardzo czuć przecie.

Tam w schowku pod podłogą fasoli trochę było. Niedużo, ale było. Widać zapomnieli, gdy ich wywozili stad. I kasza była, chyba zgniła i robaczywa, ale ja bardzo głodna byłam, to ją na mączkę porozcierałam na kamieniu, i z wodą ze śniegu zmieszałam, i na płaskim kamieniu piekłam, jako chlebek prawie. W dzień też nie spałam, nasłuchiwałam tylko, czy nie idą. Gorączkę wysoką miałam, ale instynkt w człowieku jest taki, że potrafi nad ciałem zapanować. I aż do wieczora jakoś przetrwałam na nogach.

Ale w nocy spałam, lekko bardzo, co chwila budząc się, i dorzucając do ognia.

Następnego dnia, zbierając drewno na opał, znalazłam garnek, i mogłam fasolę w śniegu namoczyć, i ugotować.

Wiedziałam, że długo tu zostać nie mogę, bo przecie, jeśli szukać będą, to w końcu znajdą, nawet przypadkiem. Ale do miasta jeszcze za wcześnie było, żeby pojechać, bo na pewno tam się na mnie co dzień czaili. Trzeba było jeszcze z tydzień przeczekać. Ta ziemianka była dobrym miejscem, dalekim od domu, dalekim od ludzi. Ja zbyt chora byłam, żeby spędzić jeszcze jedną noc na dworze.

Teść mnie znalazł po trzech dniach od ucieczki. Nic nie powiedział, tylko wszedł do ziemianki, całym sobą drzwi zasłaniając, i światło. Musiał się skradać, że kroków nie usłyszałam, ale też i otępiła bardzo byłam z choroby. Nic nie powiedział, tylko za rękę mnie złapał, i wyszarpnął na zewnątrz. Ciągnął mnie, nie zważając na moje kopniaki, bo kopałam go, i biłam. W końcu, znudzony chyba, odwrócił się, i uderzył mnie pięścią prosto w usta. Upadłabym, gdyby nie to, że za rękę wciąż mnie trzymał. Wciągnął mnie na wóz, i pojechaliśmy. Wracaliśmy bez słowa, tylko złość między nami była, i ból. Wszyscy go czuliśmy, a każdy po swojemu.

- Co było dalej? – pytam, przerażona ale i zafascynowana. Krystyna uśmiecha się. – Dalej? Dalej było to, co najgorsze i najlepsze.

- Czyli...

- Dalej był ogień.

Czasem ból jest tak wielki, tak ogromny, że cały jest tobą, a ty cała jesteś nim. Tak było gdy mój synek zmarł, i tak było teraz, gdy przywieźli mnie z powrotem, do chałupy teściów. Oni wiedzieli, po oczach to poznałam, wszyscy wiedzieli o dziecku już.

Nie mogłam oddychać.

Widziałam to w ich oczach, w gestach, w milczeniu i zimnie. Widziałam, co będzie, i wiedziałam, że nie zniosę tego, nie mogę stracić następnego dziecka, nie mogę....

Czasem wypełnia cię jakby szaleństwo, i nic nie pamiętasz, nic.

Ja nie pamiętam dużo z wtedy.

Po tym, jak mnie przywieźli z miasta, zamknęli mnie w pokoju. Tym samym, w którym po śmierci Piotrusia mnie zamknęli. Wszystko było tak samo, tylko teraz jeszcze moje dziecko żyło.

Teściowa przyszła do mnie, i smutna była. „Po co ci to było, to uciekanie? Widzisz, nic nie zyskałaś, a ja musiałam im powiedzieć.” – patrzyła na mnie z jakąś litością. „Trzeba było się zgodzić, i pozbyć się tego! Ja już nie będę mogła ci pomóc.”

Nie pytałam, co dzieckiem zrobią. Bałam się wiedzieć.

Nikt z nich nie umiał pozbyć się płodu. A do lekarze przecież by mnie nie zawieźli, żeby tego się pozbyć. Toby wstyd dla nich był, gdyby zapytał, dlaczego. Więc zamknięta byłam, u teściów. Mieli nadzieję, że poronię po tym, jak Antek mnie pobił. Bił mnie co jakiś czas, ale dziecko uparcie trzymało się mojego ciała, i nie chciało wypłynąć ze mnie krwawą masą. Wolałabym, żeby tak było, niż.. Niż czekać, aż się urodzi, by oddać je im.

Byłam zamknięta. Już pierwszego dnia teść zabił dechami okno, żebym przez nie nie

uciekła. Musiałam żyć w zamknięciu do porodu, potem oddać im dziecko. Nigdy go nie zobaczyć.

Gdy przychodzi wiosna, czuje ją każda żywa istota, czuje nadejście wiosny już w pierwszym cieplejszym powiewie. Czuje, jakby ziemia tętniła, albo jakby i pod ziemią, i pod ludzką skórą poczynano tętnić coś gorącym strumieniem. To tak, jakby na ziemi przychodziło życie, albo jakby ktoś nas budził, wszystkich naraz. Razem z wiosną idzie nadzieja. To zawsze tak jest. Nie ma większej siły od siły nadziei. Nadzieja wszystko przewycięży, bo nie zależy ona od siły człowieka, ale od jego wiary.

Tamtej marcowej nocy usiadłam na łóżku.

Ubrałam się, i uczesałam.

Pogładziłam się po brzuchu, i zanuciłam dziecku kołysankę. Mojej córeczce. Bo to była córeczka przecież, od pierwszej chwili to wiedziałam.

Wiedziałam, że to będzie bolało, ale mniej, niż czekanie zaboli. I wszystkich nas zaboli na równi.

To nie było trudne.

Trzeba było tylko strach przełamać.

Przed ogniem.

Zapałka w dłoni zajarzyła się blaskiem. *Nie będzie bolało*. Firanka wystrzeliła ku sufitowi złotym płomieniem. Ogień ślizgał się po belkach, na razie je tylko przyczerniając. Dym gryzł w oczy. *Nie boli*. Na łóżko opadły iskry, jak obierki drewna, i ono także zapłonęło. Pokój był teraz jasny, nie trzeba okna ni lampy. Dymu dużo. *Nie boimy się, córeczko*.

Obudził ich dym. Teściowa czujny sen miała, jak Antek.

Otworzyli drzwi od mojego pokoju nie, żeby mnie ratować, tylko żeby ogień ugasić. Wcale nie chciałam z pokoju wyjść, do nich. Chciałam zostać tam, ale teść mnie wyciągnął. Patrzyłam, jak gaszą płomienie, biegają do studni po wodę, krzycząc, przerażeni. Paliła się już kuchnia. Drewno stare było, na wiór wyschłe, szybko to szło.

Wyszłam na podwórko, i patrzyłam, jak coraz więcej płomieni w niebo idzie. Długo tak stałam, a nikt z nich mnie nie zawołał. Teściowa patrzyła na mnie, żegnając się znakiem krzyża. Teść płakał.

W końcu zostawiłam ich. Poszłam sobie, przez noc, w stronę wsi.

Nie bałam się niczego. Ani zimna, ani wilków, ani niedźwiedzi. Nic to dla mnie nie było. Trzymałam ręce na brzuchu, by ogrzać córeczkę, i szłam. Pachniało wiosną, potok ostrym nurtem mknął, a ja razem z nim.

Doszłam do wsi razem ze świtem, i weszłam bez pukania do pierwszego domu. Powiedziałam, że chałupa teściów spłonęła.

Sąsiedzi, którzy dopiero co oporządzić zwierzęta szli, od razu chcieli na pomoc biec. Ale powiedziałam, że to sensu nie ma, bo już pewnie same zgliszczą zostały. Byli przerażeni. Pytali, jak to się stało, to powiedziałam, jak.

Patrząc na nich spokojnie powiedziałam, że podpaliłam ten dom.

A potem powiedziałam, że mają pożyczyć mi pieniądze, i jakiś płaszcz czy kurtkę, bo muszę do miasta jechać.

Gdyby mieli telefon, jak to teraz wszyscy ludzie mają, toby pewnie policje zadzwonili. Ale oni nie mieli. Nikt nie miał. I bali się mnie.

Bo wszystkie więzy, łączące mnie z normalnością, tej nocy zostały zerwane. I widać to było w mojej twarzy.

Bali się mnie wszyscy, i nikt tamtego strachu do dziś nie zapomniał. Dlatego mojego imienia nikt tu nie wypowie.

Ani imienia Antka, który niedługo po tamtej nocy umarł. Na zapalenie płuc. Ale on i tak dawno był już martwy, jak i oni wszyscy zresztą. Nigdy prawdziwie nie żyli.

Nikt ich nie żałował.

Po prostu wsiałam w autobus, i odjechałam.

Tak to było. Nikt nawet nie próbował mnie zatrzymać. Ci sąsiedzi, poganiani strachem, dali mi i kurtkę, i pieniądze, nawet jakieś swetry i ubrania mi zapakowali, sami z siebie.

Nie wiedziałam, co dalej będzie, byłam jak za mgłą. Nie pamiętam nawet, jak do miasta dotarłam.

Po raz pierwszy byłam wolna, ale tego jeszcze nie wiedziałam. Nie wiedziałam nic.

Jakoś dotarłam do Przemyśla, ale to dwa dni mi zajęło, bo ja nic nie wiedziałam, jak się poruszać, jakimi autobusami, nic. Pytałam się ludzi, i jechałam.

- Jak pani go znalazła? To znaczy, czy w ogóle go odnalazła pani? – nie mogę usiedzieć spokojnie, słuchając jej opowieści.

- Nie, ja go nie odnalazłam. To on odnalazł mnie! – roześmiała się,

Dopiero w Przemyślu zobaczyłam siebie naprawdę. To, jak wyglądam, jak różnie od tych kobiet z miasta. Moje ubrania, moje włosy, moja obrzękła twarz, taka zniszczona i dużo starsza, niż powinna być. Moje ręce o popękanej skórze i twardych, krótkich paznokciach, i ta sukienka, co to miałam ją na sobie: niebieska w kwiatki, pod szyję, sięgająca do pół łydki. Tutaj nikt tak nie chodził, i wszyscy się na mnie gapili. Boże, jaka ja brzydka byłam!

Nie powinnam była do miasta przyjeżdżać, tu nie pasowałam. Wstydziłam się tego, jak wyglądam, że zębów tyłu nie mam, i że taka stara się wydaje. I tego się wstydziłam, że nic nie wiem. Nie miałam szkół żadnych, ledwo kilka klas podstawówki. Prawie zapomniałam litery! Ja za mąż wyszłam, jak ledwo siedemnaście lat miałam. Z biedy takiej pochodziłam, że nawet sobie nie wyobrażasz, że tak można było żyć! A po ślubie to myślisz, że ja kiedyś książkę widziałam?

Nie chciałam już, żeby mnie Jakub widział, taką brzydką, żeby z miastowymi kobietami mnie porównywał. Tam, u mnie, byłam piękna dla niego, bo innych tam nie widział. Teraz, gdyby mnie zobaczył, wyparłby się mnie. Nawet, gdybym mogła, pamiętała adres jego matki, nie poszłabym tam.

Ale nadal bardzo chciałam żyć.

Już nie tylko dla dziecka, ale i dla siebie.

Znalazłam pracę, w fabryce. Ciężko było, bo ja żadnych papierów nie miałam, nic. I jeszcze w ciąży byłam... Ale udało się. Pracowałam ciężko bardzo, złe to były czasy.

Bałam się ludzi, tak skryta była. Czasem przez całe tygodnie do nikogo gęby nie otwierałam. Tylko do mojej córeczki mówiłam. Czułam, jak rośnie we mnie, że dobrze jej, i to mi wystarczało.

Nie wiem dokładnie, jak to się stało, że mnie odnalazł, nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Dość, że gdy urodziłam, i ze szpitala mnie wypisywali, on czekał. Tam się spotkaliśmy. I już byliśmy razem.

Nie wyjechał na Zachód wtedy. Już kilka tygodni po naszym rozstaniu on tam wrócił, w Bieszczady. Po mnie. Ale mnie już tam nie było.

Przyjechał niedługo po mojej ucieczce. Wtedy jeszcze sprawa była świeża, i ludzie ze wsi opowiadali, z takim lękiem, patrząc za siebie, ale opowiadali, cichymi głosami, aby tylko złego nie przyciągnąć. Opowiedzieli mu o nienormalnej Ukraince, tak mnie nazywali, która to podpaliła dom teściów. Wariatce, co w ciąży była, pewno z diabłem, i że podpaliła dom, do fundamentów spłonął, a ona uciekła. Nikt nie wie, dokąd.

Mówili, że wpędziłam do grobu męża i teścia, że mąż się na płuca rozchorował, i zmarł, a teść to na wylew umarł już w trzy tygodnie po pożarze. Gdy Jakub przyjechał, właśnie Antka chowali. Teścia pochowali na tydzień wcześniej. Teściową poznałaś. Od niej ten dom kupowaliście. Ciągle żyje, ale tak lepiej. Ona zapłaciła za swoje winy, musząc oglądać śmierć i męża, i syna, i utratę wszystkiego... Ona ucierpiała z nich najmocniej przez to, ale ona najwięcej zawiniła. Bo to ona wymyśliła wszystko.

Potem Jakub mnie szukał, wypytywał kierowców, a że ja charakterystyczna byłam, taka chuda, w ciąży, z długim warkoczem, to i mnie ludzie zapamiętali. Ale w Przemyślu to już trudniej było mu mnie znaleźć, po szpitalach pytał, mądry był, to i obliczył, kiedy dziecko może się urodzić. I mnie znalazł.

- To musiało być piękne! To powitanie, i w ogóle! –wołam, ocierając łzy.

Krystyna skrzywiła się. – E tam! Nic tam pięknego nie było! Te nasze początkowe dni i miesiące były okropne! Obydwoje nieraz żalowaliśmy, że los nas tak związał. Ale Jakub był odpowiedzialny, dobry. Nie przeszło mu przez myśl, że mógłby mnie zostawić, samą, z jego dzieckiem. Szczególnie po tym, co przecierpiałam dla niego.

I tak jakoś zaczęło nam się układać z czasem. Ja oswoiłam się z ludźmi i miastem, już tego strachu we mnie nie było. Marysia, nasza córeczka, dobrze się chowała, potem i inne dzieci mieliśmy, całą czwórkę mu urodziłam! Ale Marysia była zawsze mi najbliższa, najmocniej do teraz ją kocham. Ja nie pracowałam, on nas utrzymywał, nieraz od rana do nocy zasuwiał, żeby było co do garnka włożyć...

Ale potem było łatwiej. Po tym, jak się rozwiódł, bo on żonę miał, ale ze mną mieszkał. Z czasem, już po rozwodzie, jego rodzina mnie polubiła, a już dzieci to kochali wszyscy. Siostra Jakuba, Ewa, bardzo dobra dla mnie była. Dużo pomagała: zostawała z dziećmi, i tłumaczyła Jakubowi, jak powinien postąpić, gdy ja nie

umiałam po swojemu czegoś mu wytłumaczyć. Ale, co najważniejsze chyba, ona sprawiła, że znowu stałam się piękna. Jak kiedyś.

I wtedy już nie czułam się gorsza od wszystkich, i nie myślałam, że Jakub ze mną z litości jest. Ewa poszła ze mną do fryzjera, włosy mi uciął, trwałą zrobił, nauczyła mnie szyć takie stroje, jakie w mieście się nosi. No i kazała Jakubowi, żeby dał mi pieniądze na zęby. Razem do tego dentysty, i tego od szczęki chodziliśmy, i on mi takie sztuczne wprawił, na miejsce tych wybitych przez Antka.

Trudna miałam życie przez pierwsze jego lata. Bardzo trudne! Ale potem naprawdę byłam szczęśliwa. Mój mąż – drugi mąż, Jakub, kochał mnie, ja kochałam jego. Przeprowadziliśmy się z Przemyśla do Olsztyna, tam pracę Jakub znalazł. Potem w Puławach mieszkaliśmy, do teraz tam mieszkamy. Niedawno dotknęło nas nieszczęście – Mietek, nasz syn, zginął w wypadku, ciężarną narzeczoną zostawił. Wracał z Anglii, zarabiał tam na ich dom, jechał samochodem, który dopiero co kupił. Za szybko jechał, no i stało się.

Jakub bardzo to przeżył, całkiem go to przygniotło. Ale teraz, gdy Milena, nasza niedoszła synowa, z Kamilką, naszą wnuczką, zamieszkały u nas – bo mamy duże mieszkanie, a sami w nim byliśmy, to łatwiej już nam. Prawie rok minął od śmierci Mietka. Czas naprawdę leczy rany. Chociaż śmierć dziecka zawsze jest taką raną, której nie da się zabiścić.. Ja do teraz za Piotrusiem płaczę. Ale z czasem boli mniej.

Krystyna zamilkła. Siedziała z dłońmi równo ułożonymi na stole, i milczała, patrząc niewidzącym wzrokiem za okno. Zmrok coraz gęstszy opadał.

- To wszystko, co pani mi powiedziała, to mną wstrząsnęło... - niezręcznie przerywam ciszę, nie mogąc znaleźć właściwych słów. – Ja bardzo pani dziękuję, że zechciała mi to opowiedzieć, że pani przyjechała do mnie...

- Po raz pierwszy tu przyjechałam. Po raz pierwszy od tamtej nocy. –mówi po prostu –Każdego dnia myślałam o tym domu, o tym miejscu, i bardzo tęskniłam. Ktoś, kto raz tu przyjedzie, zawsze będzie zauroczony. A ktoś, kto się tu urodził, zawsze będzie na równi pragnął stąd uciec, i zawsze będzie pragnął tu powrócić. - przenosi na mnie spojrzenie – Ty też już jesteś naznaczona tym miejscem, i zawsze będziesz je w sobie nosić!

- Wiem. – mówię cicho.

- Ale o jedno muszę cię prosić. Nie, nie prosić: zażądać: opuść ten dom! – jej oczy są zimne. – To nie jest miejsce, w którym cokolwiek może się udać! Za dużo złego tu było... Tamten dom został oczyszczony, oczyściłam go ja, wtedy, po przez ogień, niszcząc wszelkie plugastwo. Ale tutaj aż gęsto od wspomnień, okrutnych wspomnień, których nie powinno się nigdy już mówić.

- Tak, czuje tak samo. – potwierdzam –Chociaż na początku kochałam ten dom!

- Ja też! I to bardzo! Ale wszystek zła, które mnie tu spotkał, on został w ścianach.

- Czuje to.

- Tak, wiem, ty czujesz dużo. – znów się zamyśla – Tutaj, w tej kuchni, siedział Antek, i słyszał, jak Piotruś go woła. On nienawidził tego dziecka, tego dowodu, że nie jest w stanie... To tak boli, ta nienawiść, i to cierpienie! Ja nie wierzę, że to zostało bez śladu!

- Nie zostało. –szepciam, pochylając głowę. Krystyna niespodziewanie łapie mnie za rękę – Co chcesz przez to powiedzieć...? – pyta drżącym głosem.

Przełykam ślinę, daremnie układając w głowie słowa – Wiele razy to słyszałam.

- Co?... – ona też szepca.

- Słyszałam, jakby... Jakby ktoś próbował dostać się do środka... Tędy, przez kuchenne drzwi. Ktoś, kto... leży.

Krystyna gwałtownie odwraca twarz. – Naprawdę słyszałaś...?

- Tak. Prawie każdego ranka,. Gdy sama byłam. Przez cały luty to się powtarzało, prawie w obłęd popadłam przez to... Przepraszam! – urywam raptownie, świadoma, jak okrutnie zabrzmiały moje słowa.

Ale Krystyna na to nie zważa. Siedzi tylko, z głową nisko pochyloną, i do siebie mówi – A wice ciągle tu jesteś, synku... Czekasz na mamę.

Przejmuje mnie dreszcz, i aż na wymioty mi się zbiera, tak straszne jej słowa się wydają, a śmierć tego dziecka staje mi przed oczyma.

- Proszę pani... - delikatnie dotykam jej ramienia. Podnosi głowę, ale nie patrzy na mnie. Jest taka daleka, jakby znów popadała w ten obłęd, by uciec od cierpienia.

- Tak pomyślałam, że może gdybyśmy razem, ja i pani... Gdybyśmy pomodliły się za niego...- proponuje nieśmiało.

Krystyna długo milczy, jakby wcale słów moich nie słyszała, wreszcie wybuchą – A ty myślisz, że ja mało mszy za niego zamówiłam? Mało odmówiłam pacierzy? Nie ma dnia, żebyśmy się nie modliła, i nie prosiła o wybaczenie! – krzyczy.

Pewnie ma racje. Głupio mi, że ją uraziłam. Wstaje od stołu, i tylko dlatego, by zająć czymś ręce, zaczynam wkładać do zlewu kubeczki po herbacie. Zmywam naczynia, skrepowana i smutna. Za dużo dziś usłyszałam, za dużo o tym miejscu. Nie chce tu zostać nawet godziny. Boje się.

- Naprawdę myślisz, że to mu pomoże..? – pyta Krystyna bardzo cicho. Odwracam się. Stoi w oknie, i opatrzy na podwórze.

- Tak. Uważam, że to mu pomoże! – mówię zdecydowanie.

- więc chodźmy! – Krystyna zerka na mnie.

Modlimy się stojąc tam, gdzie przyszły wilki. Tam, gdzie wszystko się wydarzyło. Modlimy się cicho, każda po swojemu, i każda do swojego Boga. Każda z nas prosi o zmiłowanie i wybaczenie, o litość i o dobroć. O łaskę.

Potem modlimy się wspólnie, do Maryji, jako, że ona jest matką.

Powtarzam za Krystyna zapomniane słowa, których nie wypowiadałam od dzieciństwa, i po raz pierwszy czuje ich moc.

I spokój, który razem ze zmrokiem opada na to miejsce.